

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.

Prenumeratę przyjmuje **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23**, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — **Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie:** za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. **Kraków, 6 czerwca 1914.** **Nr. 23.**

Straszna katastrofa okrętowa.



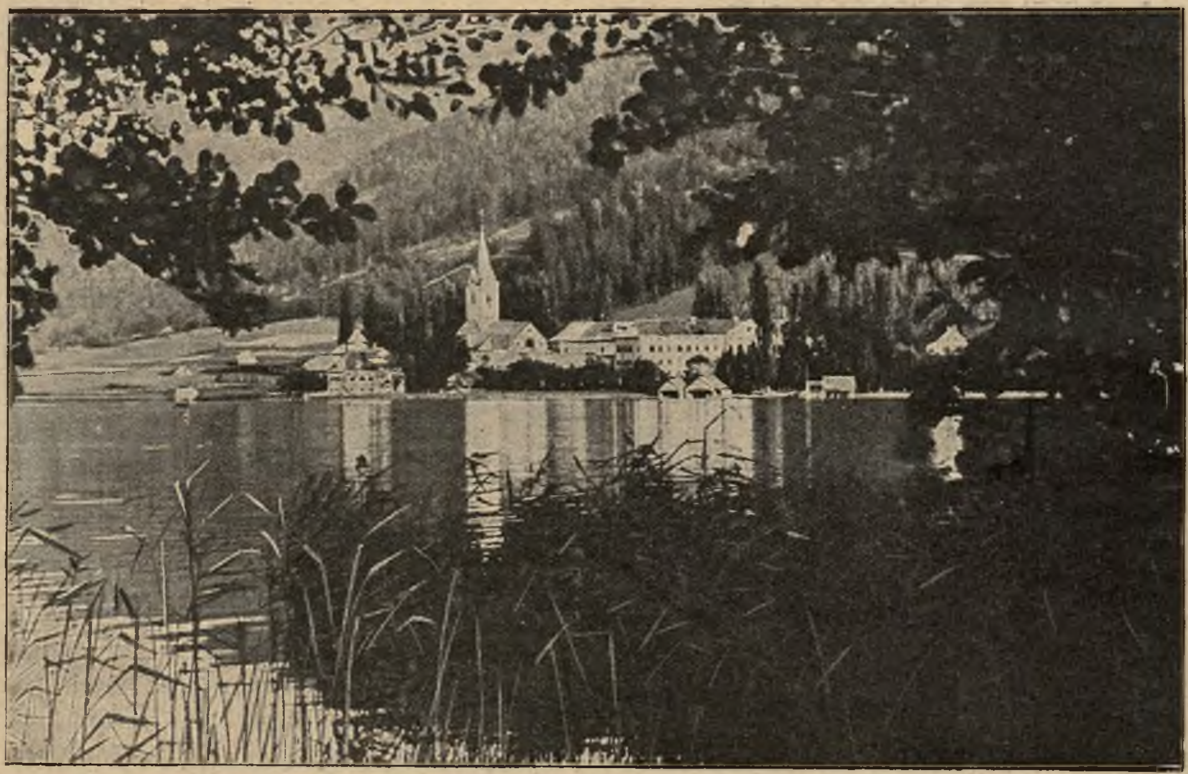
Straszna katastrofa okrętowa.

(Do illustracyi tytułowej).

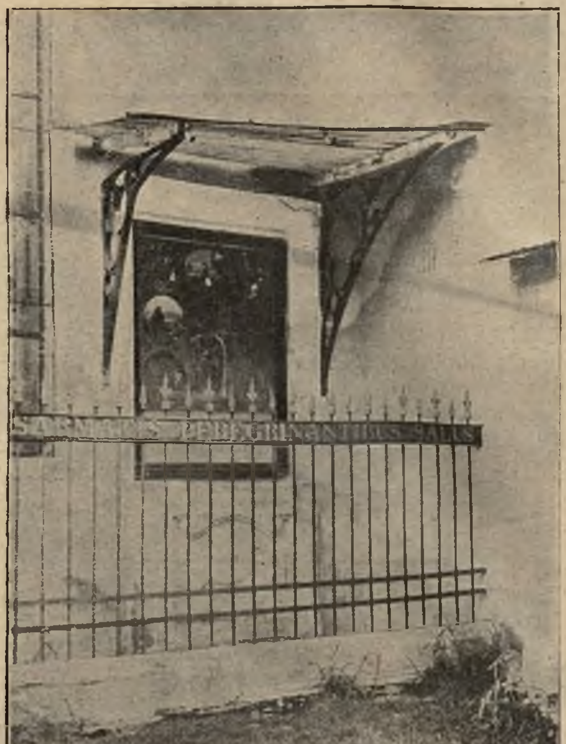
Po „Titanicu“ — „Olympic“, po „Olympic“ — „Empress of Ireland“ — zaiste, straszne to memento dla zmuszonych podróżować po oceanie. Każda z tych katastrof pochłonęła około tysiąca istnień ludzkich, a obecna, ostatnia, nie była najmniejszą, choć niedużemu stosunkowo wydarzyła się okrętowi. Albowiem w jednej chwili prawie poszedł on na dno i z tysiąca czterysta niecałe cztery setki zdołało się uratować, reszta zaś utonęła w głębinach morza.

Przyczyny tych wszystkich katastrof są różne — tak jakby okrutny i złośliwy los robił z ludzi straszliwe żarty. Gdy „Titanic“ zatonął od spotkania się z górą lodową, mówiono, że to rzadki niezmiernie przypadek, że wobec współczesnej techniki w budowie potężnych okrętów katastrofy są wykluczone; na katastrofy żywiołowe zaś, trudno, niema rady. I oto po pewnym czasie „Olympic“ zginął od wybuchu kotłów i pożaru, a teraz „Empress of Ireland“ zderzyła się znowu z drugim okrętem, co przy współczesnem uregulowaniu żeglugi również zdawało się wykluczone... Siły natury — to przeciwnik groźny wciąż jednakowo niemal. Człowiek zwalcza je, ujarzmia, zaprzęga do pracy dla swoich celów, a one co jakiś czas dają znać, że pozostały wrogiem, przed którym czujność ludzka ustawać nie może. Człowiek stał się już panem ziemi, wody, ognia, powietrza, ale bacznie strzedz się musi przy stosunku z tymi żywiołami. Najmniejsze zaniedbanie śmierć przynieść może.

Ostrożności i przezorności nigdy dosyć. I w wypadku z „Empress of Ireland“ nieostrożnie — jechano za prędko, nieprzezornie — niedostateczną ilość wzięto środków ratunkowych. Gdyby nie to, ten tysiąc podróżnych, którzy na niem udawali się ze starej Europy za ocean, nie karmiłoby może teraz swojem ciałem ryb morskich...



O grób Bolesława Śmiałego: Przepiękny widok na klasztor i jezioro Ossjackie.



O grób Bolesława Śmiałego: Grobowiec króla z łacińskim napisem „Sarmatom pielgrzymującym pozdrowienie“.



Nowe jabłko niezgody europejskiej: Turkan-Pasza prezydent ministeryum albańskiego na wizycie u ministra San Giuliano w Rzymie.

O grób Bolesława Śmiałego.

Jak wiadomo daleko od ojczyzny — w Karyntyi nad wspaniałem jeziorem Ossjackiem zmarł na wygnaniu Bolesław Śmiały, zabójca św. Stanisława. Wyklęty przez Kościół i poddanych, dręczony wyrzutami sumienia, opuścił potajemnie swe grodziszcze na Wawelu i uszedł na Węgry z zamiarem pielgrzymki do Rzymu i przebłagania Papieża za swój czyn okropny. Nie dopiął jednak swego celu, zabłądził w lasach Karyntyi i utknął w cichej dolinie Ossjaku, gdzie pielgrzyma przygarnęli w murach tamtejszego opactwa Benedyktyni. Było to około



Wojna dwóch Ameryk: Pogrzeb żołnierzy Stanów Zjednoczonych, poległych w wojnie z Meksykiem.

roku 1082. Przygnębiony i złamany znalazł za bramą klasztorną ciszę i spokój — tak potrzebne jego skołatanej duszy — postanowił tam pozostać, lecz nie chcąc być poznanym, udał niemego i błagał piśmiennie o przyjęcie go na zawsze. Owczesny opat O. Teucho poznał w wynędzniałym pielgrzymie jakiegoś dostojnego męża, nie pytał jednak kim jest, przyjął go, a przybysz dobrowolnie jął się najniższych posług — spełniając je cierpliwie i pokornie. Ciężką swą służbę wśród mnichów spełniał z zaparciem się siebie przeszło lat siedm, powierzając swą tajemnicę tylko spowiednikowi.

Czując wreszcie upadek sił i zbliżający się zgon w chorobie przemówił do towarzyszy, wyjawiając swe pochodzenie i czyn, za który dobrowolnie pokutował i pokazał na dowód posiadany wielki sygnet królewski, polecając oddać go opatowi. Umarł dnia 8 maja 1089 roku. Ciało króla-pokutnika pochowali O. O. Benedyktyni w murze kościelnym. Grób ten przetrwał wieki, a na kamieniu jego znajdują się liczne rzeźby, wyobrażające króla i sceny z zabójstwa św. Stanisława. W roku 1839 otwarto grobowiec, gdzie spoczywały już drobne szczątki Bolesława i po ułożeniu, zamknięto go i odrestaurowano. Na pamiątkę „niemego pokutnika" — Bolesława — klasztor w Ossjaku wychowuje zawsze kilku niemych.

W ostatnich czasach poruszano w prasie polskiej myśl upiększenia grobowca, a nawet przeniesienia szczątków królewskich do kraju — skorzystał z tego obecny proboszcz tamtejszy ks. Wawrzyniec Franta, opiekujący się gorliwie grobowcem. Wzywa on rodaków do przesyłania mu składek na utrzymanie tego zabytku, by zanim wśród nas dojrzeje myśl odrestaurowania, nie rozpadł się w gruzy.

W bieżącym numerze podajemy illustracye z Ossjaku, także i z tego względu, by Polacy, jadący w tym czasie austryackiemi kolejami do Włoch i Szwajcaryi, zatrzymali się w tej pięknej miejscowości i nawiedzili grób Bolesława Smiałego.



Sztuki piękne we Lwowie: Otwarcie wystawy wiosennej. 1) Namiestnik Korytowski. 2) Marszałek krajowy Niezabitowski. 3) Prez. m. Neuman. 4) Wiceprez m dr. Rutowski. (Fot M. Waydowicz, Lwów).



Sztuki piękne we Lwowie: Fragment wystawy wiosennej z działem majoliki i wyrobów terrakotowych.



O grób Bolesława Smiałego: Nawa główna kościoła b. opactwa w Ossjaku.

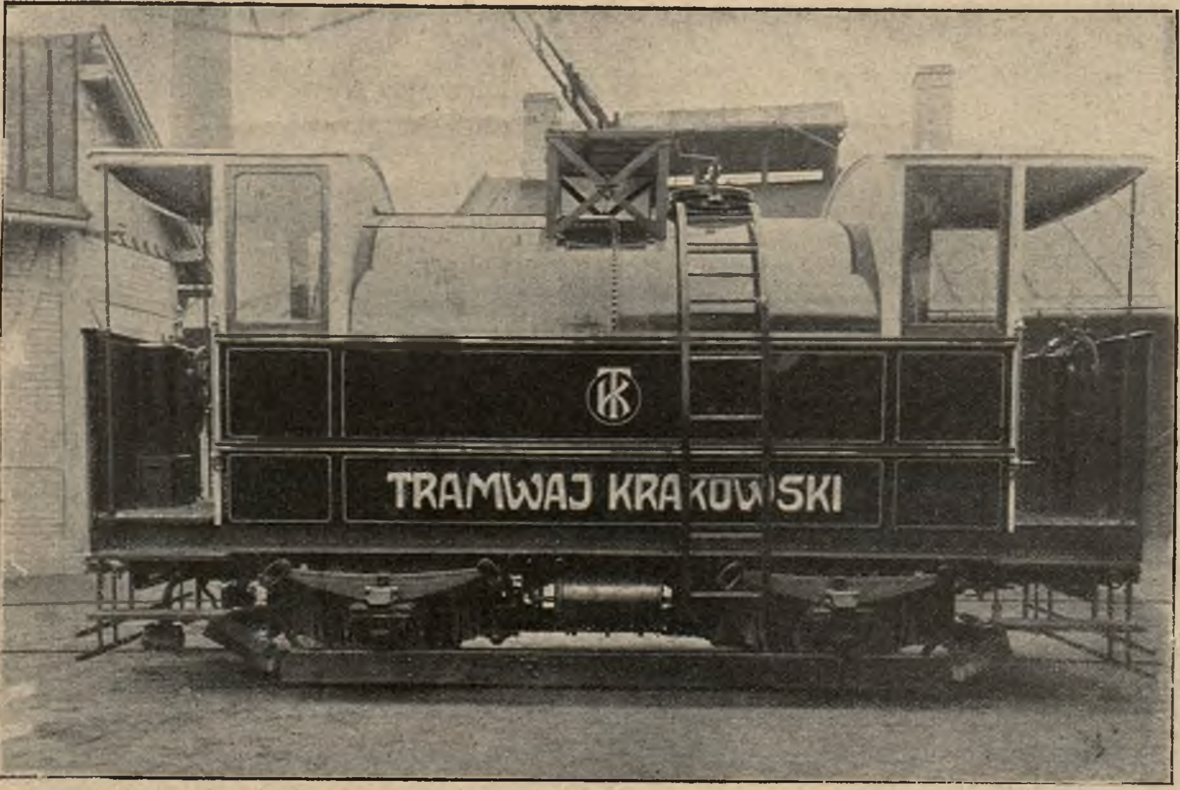


Sztuki piękne we Lwowie: Komisya losowań przy pracy. 1) prezes hr. Mycielski, 2) sekretarz St Sokołowski.

Sztuki piękne we Lwowie.

Lwów jest miastem, gdzie ruch artystyczny, zwłaszcza w dziedzinie sztuk plastycznych, objawiał się do niedawna dość słabo. Brak takiego ogniska, jakiem jest w Krakowie Akademia Sztuk pięknych, był oczywiście jedną z głównych przyczyn. W ostatnich jednak czasach ruch ten ożywił się znacznie. Coraz częstsze i obfitsze stały się wystawy, obsyłać je licznie zaczęli także artyści z poza Lwowa, tak, że stały się one. już w części odbiciem życia w malarstwie i rzeźbie całej Polski. Do rzędu takich należy także obecna wystawa wiosenna.

Otwarto ją uroczyście w ubiegłym miesiącu w pałacu sztuki na placu Powstawowym. Przedstawia się istotnie bogato i interesująco, mamy tu bowiem



Tramwaj-beczkowóz: Krakowski wóz tramwajowy do polewania ulic.

reprezentowane wszystkie prawie możliwe główne działy sztuk plastycznych: malarstwo, grafikę, rzeźbę, architekturę, a wypełnia okazami cały duży budynek. Artyści zaś wystawiający reprezentują wszystkie dzielnice Polski.

Z Krakowa wystąpił z dwoma dziełami mistrz Malczewski, obok niego Fałat z krajobrazem; prof. Axentowicz dał dwie kompozycye, Olga Boznańska dwa jak zawsze świetne uduchowione portrety, W. Kossak batalistyczną kompozycyę, tak samo Rozwadowski, Błocki, Grott, Kazimirowski, Kamocki, Hofman godnie reprezentują podwawelską stolicę. Sichulski wystąpił z szeregiem pejzaży i kompozycyą z pię-



Syn wielkiego ojca: Zmarły dnia 25 maja Franciszek Kossuth w stroju narodowym węgierskim.

ciu części złożoną, również pejzaże dał Jarocki, Wodzinowski, Reyzner, Augustynowicz, Salvarani, Rychter-Janowska — to wszystko jeszcze Galicya, która wogóle wystąpiła z natury rzeczy najobficiej.

Z Warszawy kilka nazwisk można zaledwie wymienić (Grombecki, Cieślewski, Pillatti), pewną nowość wystawy stanowi dość obficie przedstawiona twórczość malarzy z Poznańskiego, rzadko na galicyjskich wystawach widywana.

W bieżącym numerze dajemy zdjęcie z otwarcia wystawy i jednego z jej fragmentów — dział majolik i wyrobów z terrakoty. Przy tej okazyi zamieszczamy też komisyę losowań dzieł sztuki.

Syn wielkiego ojca.

Jest tragedyą synów wielkich ojców, że mało kiedy dziedziczą po nich genialność i te wybitne zdolności, jakie ich nazwisko sławnem uczyniły. Spadek to piękny, ale ciężki, przytłaczający swym rozmiarem indywidualność spadkobiercy, który w innych okolicznościach mógłby być wybitnym w jakiejś dziedzinie, a tak staje się tylko epigonem chwały swego rodzica. Taką postacią był zmarły w tych dniach Franciszek Kossuth, młodszy syn bohatera lat 1848—49, urodzony 16 listopada 1841 r. Swietny technik w służbie Włoch, współtwórca tunelu w Montcenis. Po śmierci ojca Ludwika w 1894 w Turynie namówiony do powrotu do kraju i wciągnięty do polityki, wykazał wiele inicyatywy, energii i dobrej woli, ale mierne zdolności w tym kierunku. Nazwisko jego było programem. Jako poseł z Czegled stanął na czele partyi niepodległościowej i prowadząc obstrukcyę, walczył z rządami Szlla i Khuen-Hedervarego. W r. 1905 doszedł do szczytu potęgi, będąc wodzem partyi prawno państwowej. Od tego czasu mniejszą już rolę odgrywał, aż wreszcie doszedł do swego zachodu.

Zgon sędziwego muzyka.

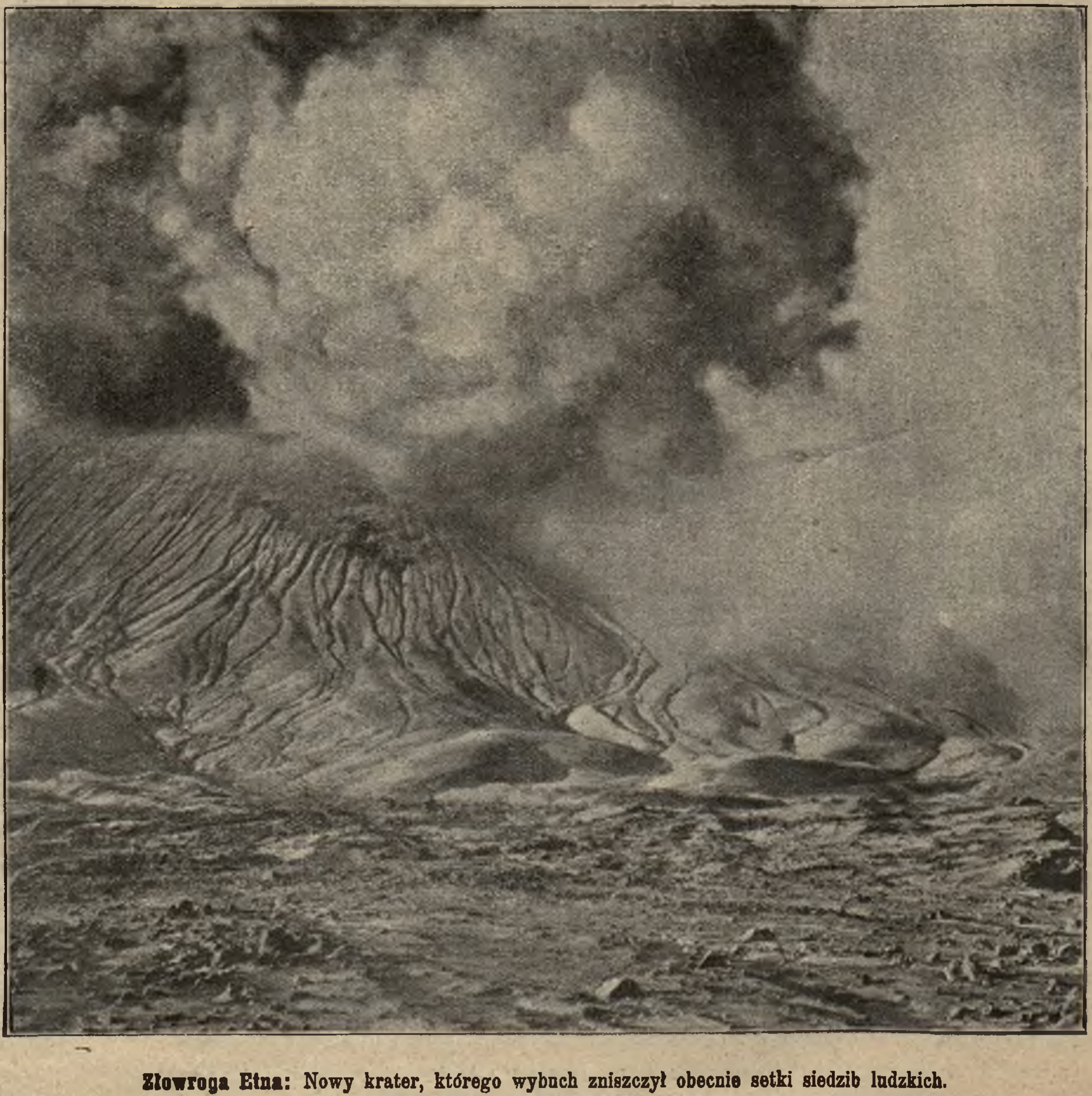
Warszawie ubyła jedna z charakterystycznych postaci, — w tych dniach zmarł w 82 roku życia popularny muzyk Adolf Sonnenfeld. Z nazwiskiem jego łączy się tyle wspomnień z Warszawy „ubiegłej“ — takiej, jaką widzieliśmy w skomponowanej przezeń: „Podróży po Warszawie“ i „Tajemnicach Warszawy“. Urodzony we Wrocławiu 19-go września 1838 r., od młodych lat poświęcił się muzyce i po ukończeniu poważnych studyów gry skrzypcowej i kompozycyi we Wrocławiu i Wiedniu, około 50 lat temu przybył do Warszawy jako skrzypek,



Zgon sędziwego muzyka: S. p. Adolf Sonnenfeld.

a w r. 1867 założył pierwszą w Warszawie orkiestrę „filharmonijną“.

Skomponował wiele utworów poważnych: opery „Fiorita“, „Albrecht Dürer“, nadto muzyki baletowe: „Pan Twardowski“, „Meluzyna“ oraz olbrzymi szereg illustracyi muzycznych do rozmaitych sztuk. Ciężką i rzetelną pracą oraz wartościową twórczością zapisał się chlubnie w kronikach Warszawy i historyi muzyki polskiej.



Złowroga Etna: Nowy krater, którego wybuch zniszczył obecnie setki siedzib ludzkich.

Artur Gruszecki.

Po ślubie.

1

Przed lustrem w sypialnym pokoju, gdzie stały dwa łóżka jeszcze niezasłane, pani Romana Winecka kończyła czesanie, fryzowanie i modne upinanie bujnych, ciemnych włosów. Wpatrywała się w lustro, badając z krytycznem niezadowoleniem nieliczne piegi, które jej zdaniem szpeciły białą cerę twarzy i postanowiła przy pierwszej sposobności poradzić się w aptece i kupić jakiś środek przeciw piegom.

Twarz jej młoda i świeża miała w chwili badania swej cery wyraz przyjemnego zainteresowania. Białymi, trochę grubymi palcami wpięła we włosy ozdobny grzebień; przyjrzała się sobie z profilu, oczyściła konchę uszną z nalecialości pudru i bacznie przyglądała się białym zębom i ładnej, okrągłej szyi.

Z zadowoleniem sprawdziła, że ma ładniejsze zęby i szyję, aniżeli jej przyjaciółka, Natalcia, tylko te piegi! I jaka to niesprawiedliwość losu! Natalcia blondynka, a chociaż z reguły każda blondynka powinna mieć piegi, Natalcia nie ma! Natomiast ona szatynka, a z każdem nastaniem wiosny zjawiają się piegi! Wczoraj było ich tylko dziesięć, a dziś już szesnaście! Z pewną zazdrością pomyślała, że zapewne gdzieś istnieje kraj bez wiosny i lata, i gdyby tam mieszkała, nie miałaby piegów.

W sąsiednim pokoju zegar ze zgrzytem zaczął wydzwaniać godzinę. Liczyła uważnie. Zegar wydzwonił jedenastą. Poruszyła się niespokojnie, jeszcze raz spojrzała w lustro i wstała z krzesła szepcząc:

— Boże! Tak późno!

Już wstała, w tem promień słońca rozświetlił pokój i ujrzała w lustrze, że nos jej błyszczy. Usiadła i zaczęła pudrować nos. Przy tej sposobności dojrzała, że na górnej wardze jest kilka ciemnych włosków, które nakryła pudrem, odkładając na później ich wyrwanie. Spostrzegła też, że sztucznie rozwichrzona fryzura układa się w normalne pasma, poprawiła ją i nareszcie zdecydowała się porzucić lustro.

Zapięła na guziczek biały, zmięty kaftanik i w halce brudnawej, w pantoflach przydeptanych pospieszyła przez tak zwany salonik i przez jadalny do przedpokoju, a z niego do kuchni.

— Marcinowo! Zupa nastawiona?

— Kiedyż miała być? — odparła flegmatycznie, — niedawno przyszłam.

— Ależ to po jedenastej, kiedy będzie obiad?

— Będzie, będzie, — wyjmowała z torby zakupy, — ależ drogo... niczego nie można się dokupić.

Zegar wydzwonił pół do dwunastej.

— Słyszy Marcinowa? Już pół! O, Boże! co będzie z obiadem? Dlaczego Marcinowa tak późno przychodzi?

Służąca spojrzała złośliwemi oczyma na panią, zmarszczki na jej twarzy ułożyły się w drwiący pokorny uśmiech i zaczęła:

— A czy to moja wina? Wstałam raniusieńko, pomodliłam się, zrobiłam kawę, podałam panu i czekałam póki pani się nie obudzi i nie zażąda kawy. Posprzątałam pokoje akuratnie, a pani spi i śpi. Mój Boże, to ci dopiero pani się wysypia, — westchnęła.

Pani, przeglądając przyniesione z miasta sprawunki, powiedziała popędliwie:

— Co mi Marcinowa wypomina mój sen? Siedziała Marcinowa przeszło dwie godziny w mieście, można było cały Kraków kupić!... Pan przyjdzie i nie będzie obiad gotów.

— Niby to pan przychodzi akuratnie, — mruknęła, szykując się do zajęcia.

— To nie należy do Marcinowej, obiad powinien być w swoim czasie.

— Będzie, będzie, niech się pani nie turbuje, jeszcze trzeba będzie odgrzewać.

— Niech Marcinowa nastawia, przyjdę i obaczę.

— Dobrze, dobrze, — zamruczała, — a kiedy mam posprzątać pokój sypialny?

— Powiem później, teraz nie można.

Idąc do sypialnego, przystanęła przy oknie w jadalnym pokoju i spojrzała na brukowane podwórze z anemicznymi krzewami, których pędy i gałązki zaczęły wypuszczać słabe, żółtawo-zielone listeczki, był to bowiem koniec kwietnia. Przez otwarte okna przeciwległej oficyny widać było krzątające się i hałasujące dzieci.

Z zadowoleniem pomyślała, że dotychczas nie miała dziecka, chociaż minęło już trzynaście miesięcy od ślubu. Możliwość zostania matką napełniała ją troską i trwogą. Obawiała się następstw niemiłych, zepsucia ładnej figury i kształtów ciała, gdyż tylko swej zgrabnej postaci i świeżej, dość ładnej twarzyczce zawdzięczała, że wyszła za mąż za człowieka w stosunku do niej zamożnego i mającego pozycyę w towarzystwie, był bowiem przedsiębiorcą budowlanym.

Córka wdowy, utrzymującej się z małego sklepiku materyałów piśmiennych i wyrobów tabacznych, uważała za wielkie szczęście i niezwykły zaszczyt swe zamążpójście za Wineckiego. Jako narzeczona i jako młoda mężatka, po ślubie, cieszyła się, iż skończyły się dni biedy, sztukowania, łatania i przerabiania sukien, żakietów, paltocików i bucików. Teraz dopiero, po ślubie, będzie używała dostatku w sukniach, strojach, kapeluszach i rozrywkach.

I pierwsze miesiące po ślubie prawie nie zawiodły jej oczekiwań, ale stopniowo mąż stawał się oporniejszy, narzekał na wydatki wielkie, skąpił i ze względu na koszta zaprzestał bywania z nią na publicznych zabawach.

Dziś jednak przyrzekł, że popołudniu wyjdą na miasto, wstąpią do cukierni, w której grywa muzyka, i wogóle dzień zapowiadał się bardzo przyjemnie. Uśmiechnęła się ucieszona tą miłą perspektywą i zaczęła przemyśliwać jaką suknię dziś włoży.

Podeszła do szafy i wyjęła dwie suknie spacerowe. Kostyum ciemny uznała za niewłaściwy na pogodny dzień wiosenny, chyba weźmie ten żółtawo-czarny, i krawatkę ponsową, w której jej tak do twarzy.

Ale kapelusz!? Ten był jej zmorą od dwóch miesięcy. W zeszłym roku kupiła sobie modny kapelusz, bardzo jej się podobał, był bowiem niezwykłego fasonu, wielki, ubrany kwiatami i piórami. Budził on podziw i zazdrość jej znajomych, ona zaś była dumna ze swego wyboru.

Niespodzianie na początku marca doszły ją wieści, że wielkie kapelusze zostały zarzucone i żadna szanująca się kobieta nie bierze ich na głowę. Nastąpiła nagła zmiana i przyzwoitość nakazywała ubierać się w małe kapelusiki fantazyjnych form i fantastycznie ubrane. Ile razy spojrzała teraz na wielkie pudło z kapeluszem stojące w rogu sypialni, żal ściskał jej serce na wspomnienie wydatku przeszło pięćdziesięciu koron i to na nic, bo ten kapelusz tyle warta, co pierwszy lepszy łachman. Jeszcze w końcu marca pocieszała się nadzieją, że on da się przerobić i zaniosła go do modystki. Ta jednak, obejrzawszy go, powiedziała z drwiącym uśmiechem:

— Proszę pani, to fason odwieczny i może służyć jako okaz dziwactwa, nic z niego nie da się zrobić.

— Ale te kwiaty... pióra...

— Kwiaty takie wyszły z mody zupełnie i pióra takie również.

Rzecz oczywista, że Romcia, rozgniewana tą bezwzględną krytyką jej kapelusza, uważała modystkę za kobietę głupią, zarozumiałą i bez taktu. Wyszła oburzona, lecz miała tę pociechę, że na Plantach zobaczyła kilka kobiet, co prawda nie zbyt eleganckich, które nosiły trochę podobne do skrytykowanego kapelusze.

W domu miała swój dawny, panieński, średnich rozmiarów, schowany w kufrze. Wyjęła go, ubrała jak umiała, ażeby jakoś doczekać się chwili kupienia innego, modnego, gdy mąż będzie w dobnym humorze.

Co prawda, próbowała kilkakrotnie nakłonić męża na kupno nowego kapelusza, ale bez skutku, gdyż była tak nieostrożna, czego nie mogła odżałować, iż pochwaliła się przed mężem przeróbką swego panieńskiego kapelusza, a mąż, ucieszony jej zdolnością kapeluszniczą, oświadczył, że ten kapelusik jest prześliczny i o nowym nie chciał nawet słyszeć.

Dziś jednak, gdy wyjdą na miasto, miała nadzieję, że nareszcie przekona go, iż nowy kapelusz jest nieodzowny. Nie miałby chyba oczu, gdyby nie zobaczył, iż jej kapelusz jest wprost niemożliwy i naraża ją na śmieszność.

Wybiła dwunasta godzina. Szybko zaczęła się ubierać. Wzięła bluzkę, którą mąż chwalił, spodnicę domową, lepsze pantofle i poszła do kuchni, ażeby dopilnować obiadu.

Wiedziała z rad matki i ciotek, a także od znajomych mężatek, że najpewniejsza droga do pozyskania męża prowadzi przez zmysł smaku. Dziś też zarządziła zupę pomidorową, rozbratle z nowalią, bo z młodemi kartoflami, i suflet pomarańczowy, ulubione potrawy męża.

Marcinowa posprzątała w pokoju sypialnym wróciła i zaczęła gderać, że pani zupę przesoliła, że zaczęła smażyć rozbratle zawcześnie, i pani cofnęła się do pokoju.

Minęła pierwsza godzina, Romcia zauważyła niepościerane kurze, zajęła się porządkiem, nasłuchując wejścia męża. Już było trzy kwadranse na drugą, męża niema. Zniecierpliwiła się i dokuczał jej głód. Przypomniała sobie, że ma w pudełku kilka cukierków, ofiarowanych jej przez Bolesława Rachmackiego, wcale miłego młodzieńca, który szukał jej towarzystwa i wpatruje się w nią jak w obraz.

Gryzła cukierki smakując i może przez wdzięczność za te słodycze zaczęła rozmyślać o nim.

Przystojny i bardzo uprzejmy, ale jaki nieśmiały! Rumieni się pod jej spojrzeniem, rękę ledwie śmie uścisnąć, a jaki był przestraszony, gdy podawał pudełko cukierków, a ona nie chciała przyjąć.

Jak on słodko spytał, jak dziecko, czy jej nie obraził? Zabawny! Czegóż miała się obrażać? Lubi cukierki i chętnie przyjęła, ale trzeba było dla formy trochę się podrożyć.

To dziwne, że on taki nieśmiały i niewinny, jak panna, a jest przecież starszy od niej. Ma pewno ze trzydzieści lat, a zachowuje się tak, jak gdyby pierwszy raz widział kobietę i z nią rozmawiał.

A taki delikatny, nigdy nie wspomina o wydatkach, pieniądzach, o jedzeniu, o cenach... Płacił w cukierni za pięć osób, ani się skrzywił i musiał dać suto garsonowi, bo tak nisko mu się kłaniano.

— Szczęśliwsza będzie jego żona, — westchnęła, — on nigdy nie żałowałby pieniędzy na kapelusz lub stroje.

Ale, że męża niema tak długo?

Spojrzała na zegar wskazujący blisko trzecią godzinę. Czyżby przytrafiło się jemu co złego na budowie? A może zabałamucił się gdzieś na śniadaniu? On jest nieznośny z tą knajpą! Codziennie wieczorem idzie na piwo, a ją zostawia samą jedną. I w południe zachodzi na śniadania, traci pieniądze... Sobie niczego nie żałuje, bawi się, pije, hula z przyjaciółmi, a dla niej nie ma nawet na marny kapelusz!

Obrzydliwy! A przecież przed ślubem obiecywał złote góry, teatry, zabawy, suknie, klejnoty, i skończyło się na zaręczynowym pierścionku i złotym zegarku bez łańcuszka na szyję, jak teraz wszystkie panie noszą.

I wierz tu mężczyźnie!? Wszyscy są kłamcy i oszukują kobiety, a on chyba najgorszy, bo wszystko przyrzekał, a nic nie dotrzymał.

Oto i teraz... zamiast przyjść na obiad w oznaczonej porze, gdzieś się bawi, a wie przecież, że ona czeka, że głodna, i jaki będzie ten obiad! Rozbratle się wysuszą, kartofle młode, które tyle kosztowały, zdębieją, a suflet opadnie.

On nie będzie jadł, będzie zły i pewno nie zechce pójść z nią na miasto, jak obiecywał... I czy jest nieszczęśliwsza kobieta na świecie?

Z wielkiego rozżalenia nad sobą zabłysły w oczach łzy i nagle opanował ją gniew. Poco ona czeka na niego? czy on wart tego? I jeszcze płacze! Będzie miała powieki czerwone, i jak będzie wyglądała na ulicy!? Może ją spotka Natalcia, jej przyjaciółka, i co sobie pomyśli? Podeszła szybko do lustra, ale nie było żadnego śladu łez. To ją uspokoiło i poszła do kuchni.

— Marcinowo, chyba pan nie przyjdzie?

— Co nie ma przyjść? — wzruszyła ramionami, — przyjdzie i wszystko będzie ganił. Czy to ja nie znam? Chłop czy pan, wszyscy oni jednacy. Nieporada z nimi, czekaj, źle; nie czekaj, źle!... Tamta z przeciwka już pozmywała i wolna sobie, a ty czekaj i czekaj, wszystko kiśnie, suszy się, marnieje... Niech pani chociaż zupy przełknie...

Odezwał się dzwonek w przedpokoju, sama pani pobiegła otworzyć. W progu stanął krępy, niski szatyn, w meloniku na głowie i jeszcze przeszukiwał kieszenie:

— Gdzieś mi się klucz zapodział od zatrzasku, nie widziałaś? — wszedł do przedpokoju i rozbierał się z zarzutki.

— Pewno zgubiłeś.... czekałam na ciebie.

— Miałem interes do załatwienia, — a widząc dwa nakrycia w pokoju stołowym: — dlaczego nie jadłaś obiadu? Już po drugiej.

— Po drugiej? — powiedziała drwiąco, — już po trzeciej.

— No, no, jak ten czas leci, ani się spodziewałem... dawajże obiad, nie będę siedział przed próżnym talerzem.

— A jak długo ja czekałam? — patrzyła gniewnie na męża.

On poczuwał się wprawdzie do winy, ale przez ambicyę nie chciał się przyznać, wyznawał bowiem zasadę, że nie można przed żoną okazać skruchy, bo ona natychmiast zechce kołki ciosać na głowie, a ponieważ najwygodniejszą obroną jest uprzedzić zarzuty i pretensye, mąż tedy spojrzał niezadowolony na żonę, mówiąc:

— Otóż to małżeńska przyjemność! Człowiek haruje od rana samego, biega, pracuje, ujada się, ażeby tylko zarobić i ażeby w domu niczego nie zabrakło; przychodzi odpocząć, a tu kwasy, pretensye, fochy, i o co? O głupie spóźnienie się na obiad, — a ponieważ był po obfitem śniadaniu dodał: — człowiekowi obrzydnie jedzenie i wyrzeknie się obiadu przy takich kwasach. Zjedz sama, ja już nie chcę, — wstał od stołu.

Ogarnął ją nagły żal nietylko z powodu wzgardzenia jej obiadem, ale i możliwości, że wcale nie wyjdzie z mężem na miasto, z którego to spaceru obiecywała sobie tak dużo. Gniew swój i oburzenie ukryła pod maską wielkiego żalu, zerwała się z krzesła i przytrzymując męża za rękaw mówiła:

— Jasiu, siądź! Ja tylko dla ciebie przygotowałam taki wyborny obiad. Tak się cieszyłam, że będzie ci smakował, a ty nie chcesz? Proszę cię, jeśli mnie kochasz, zostań i zjedz.

Ta prośba pochlebiła jego próżności męskiej, pomyślał, że jeśli ona tak bardzo dba o niego, jeśli dla niego obiad przygotowała, trzeba być wspaniałomyślnym, przebaczyć jej i zjeść ten obiad.

— Tym razem ustępuję tobie, ale pamiętaj Romciu, że nie lubię żadnych kwasów i fanaberyj. Interesa są interesami, i ja dla głupiego spóźnienia się na obiad nie mogę tracić.

Marcinowa wniosła zupę w wazie; sama pani napełniła głęboki talerz męża i podsuwając powiedziała:

— Jedz, Jasiu, to twoja ulubiona zupa.

— A tak, tak, dosyć lubię, — zabierał się do jedzenia, — chociaż lubię każdą zupę.

Jadł. Zupa była za słona i za mączysta i mąż miał wielką ochotę odłożyć łyżkę, ale żona mówiła:

— Doskonała zupa, prawda, Jasiu?

— No, tak.

— Jedz, proszę cię, dla ciebie ją zrobiłam.

Westchnął głęboko i zjadł. Marcinowa przyniosła rozbratle, były przesuszone i twarde, a kartofle zdębiałe.

— Wiem Jasiu, jak lubisz rozbratle i młode kartofelki, jestem pewna, że będą ci smakowały.

— Kiedy naprawdę nie mam dziś jakoś apetytu, — powiedział po skosztowaniu.

— Ależ, Jasiu, dla ciebie się tak wykosztowałam... jedz, mój drogi. Rozbratle doskonałe, — gryzła z zapałem twarde mięso zdrowemi, młodemi zębami.

Pożałował teraz, że zgodził się tak lekkomyślnie na zjedzenie obiadu i to po obfitem śniadaniu, ale jak tu odmówić żonie, która tylko dla niego przygotowała te przysmaki. Po chwili odłożył nóż i widelec, mówiąc z pewną ulgą:

— Mam, Romciu, dosyć!

— Jasiu, jeśli mnie kochasz, skończ ten rozbratel. O, kartofelków nie masz! — dorzuciła mu kilka kartofli.

Winecki w głębi serca poczuwał się do winy. Na budowę ledwie zajrzał, a spotkawszy znajomych wstąpił najpierw na kieliszek wódki i przekąskę, następnie w innej knajpie znów przyjął poczęstunek, potem zaprosił swych towarzyszy na dobre piwo, i w ten sposób zeszedł czas do trzeciej godziny. Miał wyrzuty sumienia, że nie był przy budowie czas dłuższy; że wydał stosunkowo dość pieniędzy i że wreszcie czekała żona z obiadem na niego do tak późnej godziny.

Inna żona byłaby piekło zrobiła mężowi, a Romcia ledwie się skrzywiła, i tak go kocha, tak mu chce we wszystkim dogodzić, taka dobra kobieta, czyż ma ją zmartwić, odsuwając jedzenie?

I z obrzydzeniem kończył twardy, łykowaty rozbratel i niesmaczne, łojowate kartofle.

Jednak gdy zobaczył opadnięty i przypalony suflet, odsunął talerz i rzekł:

— Romciu, żądaj co chcesz, ale już tej leguminy nie mogę jeść.

— Tak, masz słuszność, — powiedziała żałosnym głosem, — nie udał się ten suflet Marcinowej, — pokosztowała, — chociaż wiesz, Jasiu, on tylko tak wygląda, ale jest bardzo dobry, spróbuj!

— Nie! Nie mogę! — skrzywił się.

— Ale proszę cię Jasiu, choć troszeczkę, on był dla ciebie zrobiony.

— Mówię ci, że nie, jeszcze coś kwaśnego, ale słodki...



Przed lustrem w sypialnym pokoju.

— Dam ci... może zjesz omlet? Zaraz będzie.

— Nie! Nie! Dosyć tego jedzenia.

— A teraz Jasio pójdzie grzecznie spać, — mówiła z uśmiechem, tonem macierzyńskim, — a potem pójdziemy na spacer. Dobrze?

— Zdrzemnę się trochę... jestem zmęczony, — ziewnął i wstał od stołu.

— A kiedy obudzić ciebie?

— Kiedy? — przygładził resztki włosów na łysinie, — tak około szóstej...

— Bardzo dobrze i zaraz wyjdziemy, — szła do pokoju sypialnego przygotować łóżko.

— Hm... wyjdziemy? — zawahał się, podkręcił ciemne opuszczające się na usta wąsy, — no, zobaczymy! — dokończył, nie chcąc zawiadamiać żony na razie, iż umówił się z przyjaciółmi na tę godzinę.

Zauważyła ton niepewny i całując go w czoło powiedziała:

— Obiecałeś mi dzisiejsze popołudnie, zabawimy się wybornie... zobaczysz!

— Dobrze... tylko senny jestem.

Wychodząc, zamknęła drzwi od sypialnego pokoju i wraz z Marcinową sprzątała po obiedzie.

Zaczęła przygotowywać się do wyjścia, kazała oczyścić buciki, umyła ręce, rozmyślając z niesmakiem o mężu, którego głośne, przeciągłe chrapanie rozlegało się w całem mieszkaniu.

Pewno pił i śpi, pomyślała z goryczą, i czy opłaci się przygotowywać dla niego niezwykłe obiady? Zupa była niesmaczna, rozbratle niemożliwe, kartofle zdębiałe, a ten zajadał się wszystkiem, jemu dać trociny ze sosem, także by zjadł. Ci mężczyźni wogóle nie mają smaku, przecież chwalą sobie restauracyjne jedzenie na łoju robione, jak to wszystkim wiadomo. Trzeba tylko umieć wmówić w nich, a wszystko będzie dla nich dobre.

Jednak o tem wyjściu na miasto on mówił jakoś niepewnie, ale wyjść z nią musi. Czyżby napróżno wymyśliła taki obiad? I była taka dobra, wybaczająca, sama pościeliła mu łóżko... Już przez samą wdzięczność, a także za to spóźnienie się na obiad powinien pójść z nią i kupić kapelusz. Przydałaby się też nowa, wiosenna suknia, bo ta jej za szeroka i za fałdzista na dzisiejszą modę, no i buciki są te. az inne, angielskie, krótkie, a ona ma z wązkimi nosami, i rękawiczki przydałyby się i kołnierzyki koronkowe... No, to z czasem się zrobi, on musi kupić, ale nie może żądać naraz wszystkiego.

Jak go jednak zmusić do wspólnego spaceru? Umyśliła, że najlepiej będzie, gdy się ubierze i będzie gotowa do wyjścia na godzinę szóstą.

Zaczęła się ubierać. Okazało się, że pończochy przetarły się, nie było jednak czasu na pocerowanie, wzięła nową parę, która miała trochę dziur na piętach i w palcach, włożyła, bo przecież bucików nie będzie zdejmowała. Wzięła długi, obcisły, biodra opasujący gorset. Wprawdzie niewygodnie schylać się w nim, siadać, krępuje swobodę ruchów, ale w zamian jaka figura szczupła!

Nie była jeszcze gotowa z ubieraniem się, gdy posłyszała, że mąż się zbudził, a wkrótce potem stukot butów. Wszedł bez marynarki, ziewając głośno i pięściami przecierał oczy. Wyglądał nieszczególnie, łysawy, nieogolony, z ciemnym zarostem wyglądającym brudnawo, bez kołnierzyka, z rozpiętą koszulą. Widząc żonę ubraną, spytał zdziwiony:

— A ty poco się tak wystroiłaś?

— Mamy przecież wyjść razem i cieszę się, że już wstałeś. Wyjdziemy za dnia.

— Aha! przypominam coś sobie, — zapalał cygaro niedopalone, — tylko wpierw muszę pójść na budowę.

— Jakto? Mówiłeś przecież, że tak się urządzisz, ażebyś był wolny na całe popołudnie.

— No i byłem wolny. Wpadnę na chwilę na budowę i natychmiast wrócę.

— Ale to będzie już wieczór, nic nie zobaczymy przy świetle.

— Owszem, wszystko zobaczymy, przecież nie będziesz dobierała kolorów, — ubierał się.

— A właśnie chciałam widzieć kolory.

— Masz Romciu cały ranek na zobaczenie.

— Ale chciałam grosza, ciebie poradzić.

— Ja się na tem nie znam; no, do widzenia!

— Idziesz!? — zawołała rozczarowana, — ale wrócisz zaraz z budowy, jak mnie kochasz?

— Jak cię kocham... wrócę, — zamknął drzwi za sobą.

— Otóż to mąż, rozmyślała z goryczą, przyrzeka, a nie dotrzymuje! Napewno i teraz nie przyjdzie! I taki człowiek chce, ażebym go kochała! Żałuje mi każdego grosza, nic go nie obchodzi, jak się ubieram? z czego? Wiecznie za domem, niby to na budowie, a zabawia się ze znajomymi i przyjaciółmi. A wiem, że pieniądze ma, tylko skąpi dla mnie! — Przypomniała sobie chwilę jego rozczulenia i zwierzeń, iż ma kilkanaście tysięcy koron własnych, część jest w obrocie, a część złożona w kasie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)





Z życia Rusinów w Galicyi: Uroczystość Szewczenki w Przemyślu

Msza polowa. Orkiestra ruskich „Sokołów“.

Z życia Rusinów w Galicyi.

Jeżeli pierwszem przykazaniem mądrości jest, jak powiedział mędrzec grecki: „poznaj samego siebie“ — to drugiem napewno: „poznaj innych“. Poznanie siebie i poznanie innych składa się na sumę znajomości świata, a tem samem umiejętności życia na nim. Tyczy się to zarówno jednostek, jak całych społeczeństw i narodów. Wiele uprzedzeń, wstrętów, nieprzyjaźni ma swe źródło w nieznajomości człowieka czy społeczeństwa, do którego je żywimy. Poznanie umożliwia współżycie, więc poznanie to jest konieczne tembardziej dla tych, którzy żyć obok siebie są zmuszeni.

Polakom, zwłaszcza pozagalicyjskim, życie Rusinów mało jest znane; nawet Polacy z Galicyi, głównie zachodniej, słabe dość o niem mają pojęcie. A tymczasem z jednej strony ruski lud, malowniczy, poetyczny zasługuje na to ze wszechmiar; z drugiej godny jest zainteresowania się bliższego intenzywny rozwój ruskiego społeczeństwa w Galicyi w ostatnich czasach, jego dążenie do zdobycia kultury, do osiągnięcia wyższego poziomu cywilizacyjnego.



Kurs komisarzy targowych w Krakowie: Uczestnicy i kierownicy kursu

Do dziedziny takich wysiłków kulturalnych należy utrwalanie w szerokich warstwach społeczeństwa ruskiego znajomości i kultu poezyi i literatury małoruskiej. Setna rocznica urodzin wielkiego poety ludowego, Tarasa Szewczenki, szczególnie donośnem odbiła się echem w całej Galicyi. W swoim czasie pisaliśmy o obchodzie Szewczenkowskim we Lwowie. Obecnie, w końcu maja, obchodzili tę uroczystość Rusini z Galicyi środkowej — w Przemyślu. Zjechały z okolic do Przemyśla na dzień obchodu „Sicze“, „Sokoły“ ruskie piesze i konne, straże pożarne i inne stowarzyszenia. Odbyła się msza polowa, przemówienia, koncert, poświęcenie sztandaru „Sokoła“ ruskiego w Przemyślu, potem wszystkiem wielki pochód przez miasto. Wzięły w nim udział tysiące ludzi i wypadł on bardzo dobrze.

Zdjęcia nasze dają zewnętrzne pojęcie o różnych momentach uroczystości, a jednocześnie pojęcie o życiu Rusinów w Galicyi.





Z życia Rusinów w Galicyi: Uroczystość Szewczenki w Przemyślu

Poświęcenie sztandaru Sokołów ruskich. Czoło pochodu.

Kurs komisarzy targowych w Krakowie.

Jednym z ważniejszych obowiązków nowożytnego zarządu miejskiego jest czuwanie nad jakością sprzedawanych artykułów żywności, napojów oraz przedmiotów codziennego użytku, które — jak zabawki, odzież, naczynia do jadła i napoju i t. p. — mogą ujemnie oddziaływać na zdrowie. Wykształcenie organów powołanych do czuwania nad wyrobem i handlem temi produktami musi być dostatecznem, a zarazem zawodowem, nadto zaś musi uwzględniać obowiązujące w danym zakresie ustawy i przepisy wydane przez władze rządowe, gdyż organom tym przysługują ważne i odpowiedzialne atrybucye przy rewizyach na targach i sklepach, jak prawo konfiskaty towarów podejrzanych lub szkodliwych dla zdrowia, nadto obowiązek pobierania prób celem ściślejszego zbadania w naukowych instytucyach badawczych.

W celu umożliwienia dostatecznego wykształcenia tego rodzaju organów nadzorczych austryackie ministerstwo spraw wewnętrznych stworzyło przy państwowych zakładach do badania żywności kursa naukowe, z których po kilkuletniej przerwie odbył się obecnie jeden w Krakowie. W kursie tym odbywającym się pod kierunkiem star. inspektora i kierownika Zakładu Dra Leonarda Biera a przy współudziale inspektora J. Hetpera, adjunkta zakładu Wł. Matejki oraz inspektora rzeźni miejskiej M. Pappego, wzięło udział ogółem 12 kandydatów, a wśród nich 3 urzędników magistratu krakowskiego, jeden magistratu tarnopolskiego, a po jednym delegacie ze Sambora i z Kołomyi.



Jubileusz artysty: Władysław Szymanowski, artysta i reżyser teatru „Rozmaitości“ w Warszawie.

Jubileusz artysty.

Różne są zasługi dla sztuki scenicznej — zarówno ilościowe jak jakościowe. Jedni błyskają w niej wielkim, olśniewającym talentem — i to są zasłużeni zarówno wprawdzie z własnej, ale przedewszystkiem z „Bożej łaski“. Drudzy talent mają może nie tak świetny, nie są geniuszami aktorskimi, ale szlachetnym zapałem i usilną pracą dla sztuki i nad sobą dorównują tamtym największą zasługą. Do tych szeregu należy artysta teatru Rozmaitości, Władysław Szymanowski. Obecnie upływa 50 lat jego pracy scenicznej. Odznaczył się on w niej zarówno jako artysta, jak jako resyser. Jako świetne pozostaną długo w pamięci Warszawian kreacye Szymanowskiego, przedewszystkiem w repertuarze Fredry, w komedyach Przybylskiego, w starych komedyach francuskich role rezonerów. Przy kreowaniu tych postaci talent aktorski Szymanowskiego odznaczył się nietylko naturalnem uzdolnieniem, ale i wielką kulturą. Komizm przezeń wydobywany nie był płaski, a bardziej dyskretny i pogłębiony psychologicznie, obok tego zaś był mu właściwy kult pięknej dykcyi i pięknej mowy polskiej, nieco przez młodsze pokolenia aktorskie zaniedbywany. Obok tego zaś Szymanowski pracował wydatnie i z wielką znajomością rzeczy jako reżyser teatru Rozmaitości i jego staraniom scena ta zawdzięcza w znacznej części swój wysoki poziom wzorowej, w niektórych okresach pierwszej, a nigdy nie ostatniej, dramatycznej sceny polskiej. Artysta dramatyczny z ojca i dziada, towarzysz broni wielu wielkich aktorów, Szymanowski szlachetnym tradycyom artystycznym pozostał wierny i świetnie je przechował dla młodszych pokoleń. W uznaniu jego zasług teatr Rozmaitości dał w ubiegłym tygodniu na rzecz jubilata „Królewskiego jedynaka“, a szanownemu artyście, złożonemu niemocą,



Powitanie operetki lwowskiej w Krakowie: 1) Helena Miłowska. 2) Kasprowiczowa i Zaremba. 3) Filip Kuligowski 4) Henryk Miller w operetce „Polska krew“. 5) Kuligowski i Kasprowiczowa w operetce „Polska krew“. 6) Kuligowski i Zaremba w operetce „Polska krew“.

uznanie to było zapewnie miłym wyrazem hołdu dla jego talentu i pracy, do którego to hołdu i my się niniejszem przyłączamy.

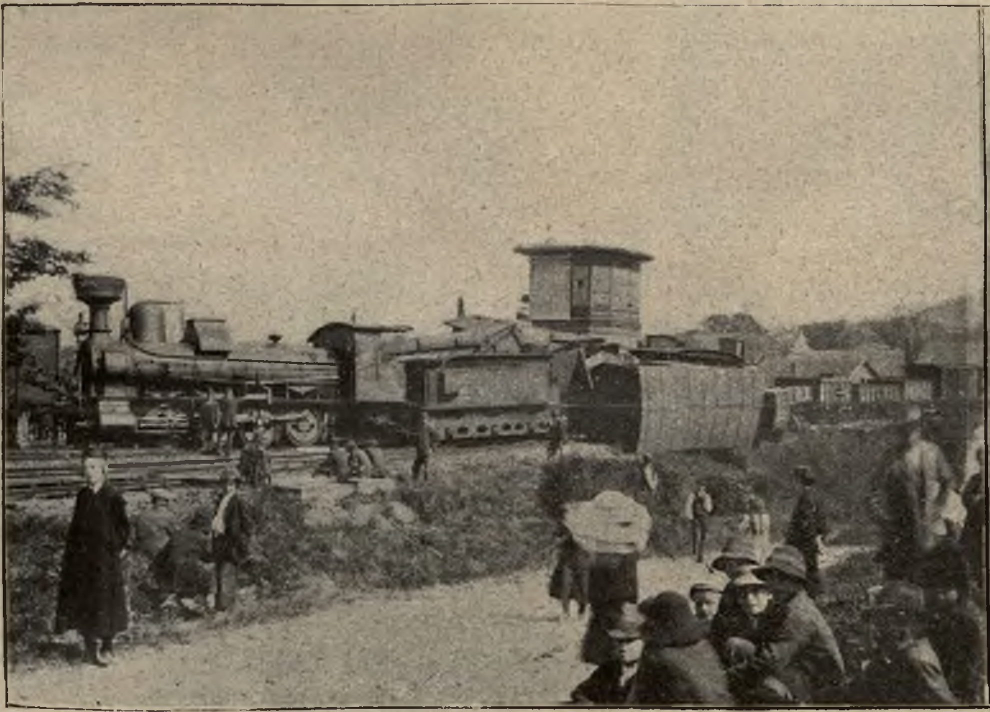
Powitanie operetki lwowskiej w Krakowie.

Kraków jest pod względem ptaków śpiewających miastem uprzywilejowanem. W maju zjawiają się nam słowiki i inne śpiewaki leśne i ogrodowe — w czerwcu — śpiewaczki i śpiewacy opery i operetki lwowskiej. Słowem, umilanie życia muzyką jest letnim programem stolicy podwawelskiej, niestety, tylko letnim.

Do tego umilania mili goście lwowscy przyczyniają się ze wszystkich sił. W gąszczach i zakamarkach na placu św. Ducha rozlegają się wieczorami przez całe lato trele słowików operowo-operetkowych. Schodzą się Krakowianie co wieczór słuchać ich — gromadnie, rozchodzą się późną nocą, podnieceni, rozentuzyazmowani, nastrojeni wesoło a miłośnie, lub górnie a rozlewnie. Na długo już przed przyjazdem trupy lwowskiej szykują się na to święto, układając program rozkoszy melomańskich. Wszystkie Krakowianki czekają na swoich ulubieńców, wszyscy Krakowianie — na ulubienice. Oczywiście damski obóz nie zdradza się ze swojemi nadziejami i oczekiwaniami przed mężkim i na odwrót. Panowie krakowscy są jednak stanowczo w lepszem pod tym względem położeniu, bowiem czerwiec, to początek sezonu wyjazdów żon z dziećmi do wód, mężowie zostają na placu. Oni są więc uprzywilejowani pod względem muzyki. Umiłowań bowiem muzycznych Kraków wcale nie jest pozbawiony, tylko mało ma sposobności ich zaspokojenia. Z wielką zatem teraz radością wita ich dostarczycieli, zjeżdżających na pobyt dłuższy — gdy się nań patrzy teraz, krótki bardzo — gdy już przeminie. Opera i operetka lwowska z gorącem spotka się nad Wisłą przyjęciem.

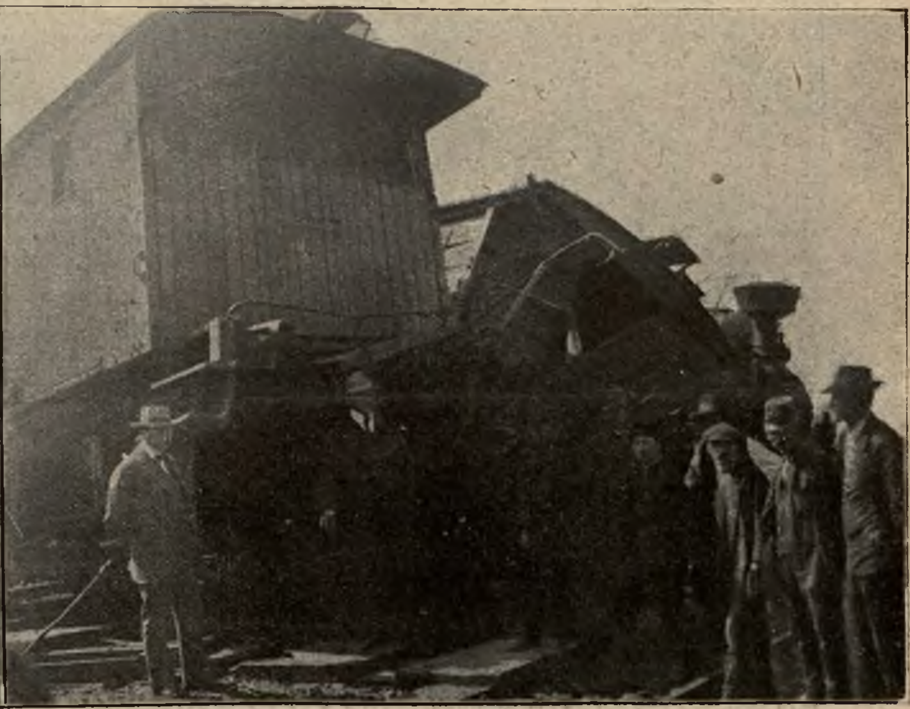


Ze szkolnictwa przemysłowego w Galicyi: Uczenice i kierownicy szkoły uzupełniającej dla krawczyń w Krakowie.



Ogólny widok miejsca katastrofy.

Katastrofa kolejowa pod Kalwaryą:



Spiętrzone wozy.



Z rozwoju pożarnictwa w Galicyi: Uczestnicy i kierownicy kursu dla instruktorów straży pożarnych we Lwowie.

Ze szkolnictwa przemysłowego w Galicyi.

Mały rozwój przemysłu w Galicyi jest wielką bolączką tego kraju. Dzięki temu wchodzi do nas dużo zagranicznych i to nie najlepszych wyrobów, wychodzi od nas masa pieniędzy. Jedną z ważniejszych przyczyn tego zjawiska są braki fachowego wykształcenia naszych rzemieślników i robotników. Uzupełnienie tych braków jest zatem zarazem pracą nad podniesieniem przemysłu krajowego.

W ostatnich czasach na polu pracy koło szkolnictwa przemysłowego w Galicya przyniosła znaczne postępy. We wszystkich zawodach zakładane są kursa uzupełniające, szkoły fachowe i t. d. Do szeregu tych szkół należy także szkoła dla uczenic krawieckich, założona przez krakowski cech krawców w r. 1909, z inicyatywy instruktora przemysłowego p. W. Ostrowskiego. Obecnie zostaje ona pod kierunkiem p. J. Planeckiego, a rozwinęła się znakomicie, liczy bowiem już 117 uczenic.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy grupy uczenic szkoły dla krawczyń w Krakowie oraz uzupełniającej szkoły przemysłowej im. A. Mickiewicza we Lwowie.

Katastrofa kolejowa pod Kalwaryą.

Na linii Kraków-Sucha zdarzyła się w tych dniach katastrofa wykolejenia się lokomotywy pociągu towarowego, zmierzającego do stacyi Kalwarya. Wskutek wykolejenia się wypadł z szyn cały przód pociągu oraz uległy podruzgotaniu liczne wozy, powodując chwilowe zatarasowanie torów. Prowadzący

pociąg dziwnym trafem ocalał, przez szczęśliwe odrzucenie go na bok toru. Wypadku z ludźmi nie było.

W bieżącym numerze podajemy dwie illustracye z miejsca katastrofy.

uczestników odbywającego się właśnie w Wydziale krajowym kursu dla pisarzy gminnych.

Około 40 młodych ludzi rozchodzi się po kraju, by nieść dalej pośród nasze straże pożarne po małych miasteczkach zdobyty na kursie zasób wiedzy na polu pożarnictwa, a krajowi naszemu przybywa



Ze szkolnictwa przemysłowego w Gal'cyi: Uczenice i kierowniczki I. kursu szkoły przemysłowej uzupełniającej im. Mickiewicza we Lwowie. (Fot. M Münz, Lwów).

Z rozwoju pożarnictwa w Galicyi.

W dniu 21 maja b. r. egzaminem wobec komisyi, której przewodniczył p. radca Włodzimirski, zakończył się urządzony przez ruchliwą lwowską ochotniczą straż pożarną — „Sokół" sześcio tygodniowy kurs dla instruktorów straży pożarnych. Kurs ten prowadził bezinteresownie znany już z innych podobnych kursów (dla skautów) naczelnik lwowskiej ochotniczej straży pożarnej p. Karol Baczyński, a brali w nim udział członkowie straży pożarnych we Lwowie, Kleparowie, Zamarstynowie i Zniesieniu, tudzież 15 tyluż cichych, a pożytecznych pracowników na niwie społecznej. Staną się oni pionierami walki z klęską pożarów, tak często Galicyę nawiedzających. Stowarzyszeniu, które kurs inicyowało, i jego kierownikowi należy się prawdziwe uznanie.

Tramwaj-beczkowóz.

Kraków otrzymał w tych dniach pożyteczną inwestycyę, t. j. beczkowóz do polewania ulic. Nie byle jaki to jednak beczkowóz, bo elektryczny! Dla ścisłości dodać należy, że beczkowóz ten jest to taka ruchoma instytucya — jeżdżąca po mieście i przy pomocy obfitego zlewania zakurzonych ulic ułatwiającą oddychanie tubylcom i przybyszom. Niestety, beczkowóz ten jest ściśle złączony z konstrukcyą naszych nowych tramwajów i nie na wszystkie ulice może zaglądać. Sam jest bowiem tramwajem, tylko w miejscu, gdzie siedzą zwykle pasażerowie, ma dużą beczkę. Beczkowóz ten jest dziełem zakładów technicznych krakowskich tramwajów miejskich — mieści w sobie 8.000 litrów wody i kosztował 15.000 K.

Przystosowany jest do nowych szerokich torów i ukazuje się codziennie rano (n. b. z wyjątkiem dni deszczowych i śniegowych...)

Ucieczka posła.

Na brak różnego rodzaju skandalów politycznych w Austryi narzekać nie możemy, a posłowie parlamentarni niemałą w tem mają zasługę. Jedni biją się między sobą w parlamencie, drudzy robią różne szwindle, trzeci zostają konfidentami policyi... Skandal z byłym posłem socyalistycznym ruskim do parlamentu, Semenem Witykiem, nie jest może jeszcze tak ostatecznie najgorszy. Wityk, który r. 1907 i 1911 wybrany został jako socyalny demokrata w okręgu Turka-Drohobycz — niespodzianie wycofał się z życia politycznego. Gdzieś zniknął, względnie uciekł, narobiwszy długów czy też naciągnąwszy ludzi na kilkadziesiąt tysięcy koron.

Mamy więc tylko „nieporozumienie": pana posła wyborcy posłali do parlamentu t. zn. do Wiednia, on tymczasem pojechał gdzieś dużo dalej — do Ameryki? Zostanie tam zupełnie „prywatnym", skromnym człowiekiem, zwłaszcza, że i tak już dawniej jego partya go się wyrzekła.



Ucieczka posła: Semen Wityk, b socyalistyczny poseł ukraiński d› parlamentu wiedeńskiego.

Zaciekłość sufrażystek.

Mają słuszność myśliciele, którzy twierdzą, że kobieta jest zagadką, sfinksem, problematem niezwykle zawiłym i t. d. — słowem niewyczerpanym tematem do rozmyślań i niewyczerpaną skarbnicą niespodzianek. Jak się okazuje, słusznem to jest nietylko w odniesieniu do wszystkich kobiet, ale nawet w odniesieniu do tak nieznacznej ich cząstki, jak sufrażystki angielskie.

Czego się już o nich nie pisało, jakich one już nie dostarczyły nieoczekiwanych emocyj całemu światu?! A tymczasem — przysłowość ich na tym punkcie wydaje się niewyczerpaną. W swej walce o równouprawnienie stosują one jednocześnie środki figlarne i prawie niewinne, oraz gwałtowne i groźne. W jednej miejscowości wymyślają królowi, w drugiej podkładają bombę w kościele, w trzeciej obsypują mąką ministra, w czwartej podpalają pałac lub magazyny towarów, w piątej krają obrazy, w szóstej psują urządzenia elektryczne i t. d.

Rejestrować te poszczególne fakta nie sposób, można tylko stwierdzić, że sufrażystki angielskie w swej zaciekłości wpadły teraz w istny szał bojowy.



Ze szkolnictwa przemysłowego w Galicyi: Uczenice i kierowniczki II. kursu szkoły przemysłowej uzupełniającej im Mickiewicza we Lwowie. (Fot. M Münz, Lwów).

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy"

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

27

Błyskawicznym ruchem Wiliam Perkins pochylił się i widocznie dojrzał natychmiast odciski stóp ludzkich, bo szedł zgarbiony i zapatrzony kilkanaście metrów. Gdy się wyprostował, pogroził pięścią Johnniemu, tak, jak gdyby on tylko całą winę ponosił. Gdy doszedł do zakrętu, raz jeszcze zbadał skrupulatnie drogę, porwał czapkę z głowy i zagłębił tragicznym ruchem wszystkie palce we włosach. Poczem chciał udać się na lewo i rozkazał Johnniemu wybrać prawą stronę, lecz wkrótce rozmyślił się. Może lękał się sam pozostać, lub też nie bardzo dowierzał odwadze towarzysza, gdy ten znajdzie się oko w oko za zbiegami. Śledził więc dalej, trzymając przy sobie Johnniego, i idąc raz w prawą, drugi raz w lewą stronę. Na chwilę zniknęli w gąszczach — poczem ukazali się znowu na przykopie, gdzie wyleźli na drzewo, badając okolicę przez polową lunetę.

Jan le Kerlack i fakirzy, doskonale ukryci, z poza drzew przypatrywali się tym manewrom. Zwierzyna wyprowadziła strzelców w pole.

Wiliam Perkins objawiał krańcową rozpacz! Zapewne wzywał na świadka swojej porażki zacnego i czcigodnego króla Edwarda i królowę Anglii, cesarzową Indyi! Musiał wyrzucać z siebie jakieś straszne wyrazy, bo głos jego donośny dochodził aż do lasu, a dobroduszna twarz Johnniego przybierała coraz smutniejszy wyraz. W końcu ze spuszczoną głową Wiliam Perkins powrócił do automobilu i wdał się w rozprawę z Johnnim i szoferem. Rozłożył jakąś mapę, nad którą się wszyscy trzej zgodnie pochylili i teraz nastąpił decydujący moment. Czy jechać dalej, przed siebie, ku granicy, czy powracać tą samą drogą!?

Zanim jednak powzięli stanowcze postanowienie, poszli jeszcze obejrzeć trumnę. Wtedy z ust Falika wybiegł zduszony okrzyk zgrozy! Bo może oni znajdą to, czego on tak szukał! Cenną torbę z papierami?! A te papiery nie miały żadnej wartości dla władzy angielskiej, tylko dla niego, fakira i dla... księcia Kiwani! Ale detektywów nie dręczyła na razie niepotrzebna ciekawość. Zadowolnili się przymknięciem trumny i przeniesieniem jej na swój automobil. Długą chwilę przetrząsali jeszcze szczątki spalonego automobilu — a w końcu odjechali ku wschodniej stronie.

— — — — — — — — — — — — — —

— Doskonale! — zawołał na cały głos Jan le Kerlack, którego nużyło już to przymusowe milczenie. — Aleśmy im dopiekli do żywego! Niech żyje wolność! Ładniejśmy im uciekli z przed nosa!

Jednakże Jan le Kerlack nie potrzebował się obawiać pościgu policyi angielskiej! prędzej już francuskiej, która w tej chwili napewno go poszukiwała! — Lecz temu dzielnemu człowiekowi nie chodziło o własną skórę. — Zadaniem jego życia było poświęcać się wiecznie dla drugich! Na razie „ci drudzy", to dwaj biedacy, zdani na jego łaskę.

— Będą was poszukiwać w Alzacyi, w Niemczech! — woła Jan le Kerlack — Doskonale! A my dziś wieczorem jeszcze będziemy na szwajcarskiej ziemi!... panowie fakirzy, czcigodni pielgrzymi! Tylko pozwólcie mi wysłać telegram, nie... nie... list zwyczajny do mojej rodziny, która się musi mną bardzo niepokoić! a potem nie opuszczam was, aż was zawiodę w bezpieczne miejsce... to jest tam, skąd zechcecie w dalszą udać się drogę!...

Wszyscy na morzu.

Nie było jeszcze podróży tak przyjemnej i wesołej, jak ta, która się odbywała na „Indianie", szczególniej odkąd przepłynięto już Morze Czerwone. Bo Morze Śródziemne było trochę niespokojne i bałwany raz po raz biły w okręt, usposabiając niekorzystnie pasażerów i narażając niektórych na nieprzyjemne dolegliwości! Natomiast całe wybrzeże Arabii dało szereg malowniczych widoków opromienionych blaskami złotego jaskrawego słońca, co tworzyło niezwykły kontrast z ciemnym stalowym kolorytem morza. Gorąco jednak było tak wielkie, że pasażerowie nie mieli ochoty do zawierania znajomości; dopiero gdy na Oceanie Indyjskim powiał orzeźwiający wiaterek, gwarno zrobiło się na pokładzie i w kabinach. Okręt stał się podobny do małego miasteczka, gdzie wszyscy się znali, i gdzie miano rozrywki różnorodne. Bawiono się również w salonach i jadalniach, jak i na pokładzie, który ze swoimi stolikami, fotelami i małymi schodkami, owijającymi się dokoła maszyny przy tyle i przodzie okrętu, czynił wrażenie małego, dobrze utrzymanego parku.

Towarzystwo było różnorodne i pomiędzy Europejczykami, przewijali się Japończycy i Chińczycy, niektórzy w malowniczych narodowych strojach. I pomiędzy tymi wszystkimi ludźmi różnych narodowości i cywilizacyi, zawiązywały się chwilowe nici szczerych sympatyi, przyjaźni... i flirtu, nie pozbawionego melancholijnego nastroju. Niektóre z nich bowiem miały się już zerwać w Ceylonie, gdzie część pasażerów wysiadała, aby już pozostać w Południowych Indyach lub też przesiąść na inne okręty, które miały ich zawieść do Indyi Wschodnich.

Już w Colombo ludność „Indyany" przybrała charakter napół indyjski, napół angielski. Było zaledwie kilku Francuzów, którzy wysiedli w Mandras. Na maszcie zatknięta była flaga księcia Kiwani, obok flagi o narodowych barwach Anglii.

Książę Kiwani powracał bowiem do kraju, wraz ze swoją przyboczną eskortą dosyć liczną, bogatą i dworem, który się jeszcze powiększył w Colombo przez dwie deputacye z ministrami na czele, które przybyły powitać swojego władcę.

Ale na tym egzotycznym dworze zachowano po części obyczaje europejskie. I zaraz ministrowie indyjscy poznali, że muszą obdarzać najwyszukańszymi względami sławnego uczonego, doktora Gewolskiego, który przez przywiązanie dla księcia Kiwani opuścił dobrowolnie wspaniałą sytuacyę, jaką sobie wyrobił nietylko we Francyi, ale w całej Europie. I należało również okazywać wiele sympatyi synowi jego, młodemu Stanisławowi, wybitnemu literatowi i prawnikowi, który nie zawahał się ani na chwilę i pospieszył towarzyszyć ojcu, opuszczając wysokie stanowisko we Francyi. Miał on osiedlić się już w państwie księcia Kiwani i poświęcić mu swoje zdolności i naukę.

Książę Kiwani jednak nie zdradził przed swoimi ministrami roli politycznej, jaką miał doktor Gewolski odegrać w jego kraju. Oficyalnie uczynił go tylko ministrem wszech nauk lekarskich z zadaniem wyparcia z kraju klęski, która tak często go nawiedzała: dżumy i cholery! Gewolski mógł więc znowu uważać się za zwycięzcę, po tragicznych wypadkach we Francyi, które omal go nie pokonały.

— — — — — — — — — — — — — —

Gdy jednak dobiegła go wieść o wypadku automobilowym w lesie Villers-Catterets — niepokój już uśpiony, obudził się w nim na nowo. Trwało to krótką chwilę. — Zaczął sobie tłomaczyć, że trumna lakowa musiała się otworzyć najnaturalniejszym sposobem, a skoro nie znaleziono trupa człowieka, którego miał już za umarłego — to widocznie tenże w własnym interesie zbiegł i musiał się gdzieś bezpiecznie ukryć.

Nie miano o nim dotąd żadnych wiadomości, gdy tymczasem doniesiono o przejściu dwóch fakirów przez Szwajcaryę do Tyrolu, gdzie już ślad po nich zaginął...

Telegraficzne te wiadomości, podane były w dziennikach w dniu, w którym „Indiana" opuszczała Marsylię.

Gewolski przypuszczał, że albo Piotr Moreau dogorywa gdzieś w nieznanym zakątku — lub też co prawdopodobniejsze, ukrywa się przed władzami francuskiemi, tak, jak fakirzy przed angielskimi.

To ostatnie przypuszczenie stwierdzał zupełny spokój, panujący w całej rodzinie Morelów, bardzo jak wiedział przywiązanej do zaginionego.

Szczególniej na twarzy Stanisława malowała się tak szczera i naiwna pogoda duszy, że musiałby być chyba artystą w symulacyi i hypokryzyi, gdyby to okazało się tylko komedyą. Przy wyjeździe z Paryża Stanisław nie zdradził się z najmniejszym niepostuszeństwem i podczas całej podróży z Paryża do Marsylii, którą Stanisław wraz z ojcem przebywał w salonowym wagonie oddanym do usług władcy indyjskiemu — Gewolski był zapewne zadowolony ze syna.

— Rozsądny jest — myślał Gewolski — zrezygnował widocznie z tych niedorzecznych zamiarów.

Przyczyna tego wyjątkowego zachowania się Stanisława wyjaśniła się dopiero na pomoście okrętu „Indiana", gdzie Gewolski ku swojemu zdumieniu ujrzał starego Morela, w towarzystwie córek i gdy usłyszał z ust księcia te słowa:

— Mój kochany doktorze! Będziemy od tej chwili przebywali w towarzystwie tych sympatycznych Paryżanek!

Pośród tych wszystkich osobistych niepokojów, nurtujących go do chwili wyjazdu — Gewolski zapomniał był o fantazyi rozkapryszonej księżniczki Kity. — Spojrzenie doktora machinalnie poszukało twarzy syna, spojrzenie, które miało być surowym wyrzutem, ale na szczęście Stanisław oddalony był o dwadzieścia kroków, gdzie pilnował rzeczy, które miano wnieść na pokład. Gdy powrócił do ojca, tenże zdołał już stłumić w sobie pierwszy wybuch gniewu.

— Chciano mnie podejść — szepnął do siebie — skorzystać z nadarzającej się niezwykłej sposobności... a no, zobaczymy!... Zobaczymy, czy zdołają go zmusić do jakichkolwiek ustępstw!

Zachciało się księciu indyjskiemu sprowadzić do kraju nadwornego malarza Francuza, tak jak to czynił król Franciszek I sprowadzający do państwa malarzy różnych narodowości. A księżniczka Kita zapragnęła towarzystwa panny Lusi Morel, tak jak dziecko pragnie nowej zabawki! Owszem! byli dosyć bogaci, aby sobie na takie fantazye pozwolić! Cóż to w końcu mogło obchodzić doktora Gewolskiego?

Nie było w tem również nic dziwnego, że panna Fernanda otrzymała w swoim biurze urlop i zechciała odwieźć swoją młodszą siostrę. Fernanda zresztą nie należała do małego dworu księżniczki Kity, choć ją usilnie o to prosił sam książę, olśniony urodą i dumną postawą młodej dziewczyny. Fernanda podziękowała uprzejmie za zaszczyt, mówiąc, że nie popełniłaby nigdy podobnej niedyskrecyi, że chce na okręcie pozostać wolna i nikogo sobą nie ma zamiaru krępować! Pragnie tylko być w bliskości ojca i siostry, w razie gdyby które z nich zachorowało i potrzebowało jej pomocy.

I jak tylko okręt wypłynął z portu, Fernanda uściskała Lusię i pana Morela i udała się do swojej kabiny, skąd wychodziła rzadko i na małą tylko chwilę. Rano i wieczór rzucała im przelotny pocałunek, czasem w ciągu dnia zamieniła kilka słów, pozostawiając ojca księciu, a siostrę księżniczce Kicie, która teraz bez niej obejść się nie mogła, tak jak niegdyś bez miss Ewangeliny Goldenspeech.

Książę zaś, o ile nie był zajęty politycznymi sprawami ze swoimi ministrami, lub naukową rozmową z doktorem Gewolskim, zabawiał się doskonale w towarzystwie starego malarza, którego dowcipy i porywy artystyczne bardzo polubił.

Malarz Morel szybko wracał do zdrowia po doznanych wstrząśnieniach. Uwielbiał morze na równi z dostatnim bufetem okrętu, który odwiedzał dosyć często.

Na okręcie więc panował pozornie zupełny spokój, tak, jak i na morzu. Dnie upływały na wesołych rozmowach i ucztach, na muzyce, śpiewie i tańcu! A ponieważ to wszystko bawiło księcia Kiwani, doktor Gewolski, jako układny dworzanin, udawał, że i jego również to bawi i uśmiechał się uprzejmie, gdy książę żartował z syna jego Stanisława, którego nadskakiwanie ładnej towarzyszce księżniczki stało się dla wszystkich widoczne.

Niekiedy władca uśmiechał się filuternie i mówił do Lusi:

— Zdaje mi się, że znalazłem sposób, aby pania na zawsze zatrzymać w mojem państwie.

A Lusia wtedy miała minę bardzo zdziwioną i zdawało się, że nie pojmuje żartów księcia. Tą samą taktykę przybierał Stanisław, co Gewolskiego doprowadzało do napadów bezsilnej wściekłości.

— Te smarkacze drwią sobie najwidoczniej ze mnie — mówił do siebie. — Ale zobaczymy, czy to długo potrwa!

Stosunek tych dwojga młodych był najczęstszym tematem rozmów doktora Gewolskiego z księżną Sahadżą, rozmów prowadzonych w tajemnicy i ukryciu. Gewolski czynił swojej kochance gorzkie wyrzuty za jej pośrednictwo i namówienie pani Morel, aby dała swoje pozwolenie mężowi i córkom na tę podróż. Stało się to bez wiedzy Gewolskiego, w tym dniu dla niego tak pamiętnym, kiedy wśród gorączkowych przygotowań do podróży, lękał się, że lada chwila ujrzy w swojem mieszkaniu ironiczną i pewną siebie twarz Piotra Moreau!

Co to za pomysł, aby sprowadzać tego starego bazgracza z córkami do Kiwani? A tak łatwo można było o nich zapomnieć, i skorzystać z pośpiechu, w jakim organizowała się ta podróż i pozostawić tych ludzi we Francyi! Ale księżna Sahadżi, która wobec Gewolskiego umiała zawsze zachować swoją wyniosłą niezależność, odpowiadała na te zarzuty zimno i spokojnie. Mówiła, że działała w tym kierunku jedynie ze zręcznością polityczną, na której skorzystać mogli podwójnie. Trzymała bowiem w rękach całą rodzinę Morel, jako okup, w razie gdyby zechciało się Piotrowi Moreau raz jeszcze wmieszać się w nie swoje sprawy — a przytem jej to księżniczka Kita zawdzięczała towarzystwo tych ludzi.

Chwile, w których księżna Sahadżi porozumiewać się mogła ze swoim wspólnikiem, były bardzo nieliczne; a nawet w tych krótkich chwilach swobody czuli się skrępowani i szpiegowani. Raz, gdy wsparci

o parapet, zamierzali zamienić słów kilka, nagły podmuch wiatru zachwiał czółnem, wiszącem nad nimi. Podnieśli machinalnie głowy i dostrzegli — zanim czółno przybrało swój horyzontalny poziom — szmat białej materyi lamowanej srebrem. Więc ktoś tam był!? ktoś, który tam się znalazł przypadkiem, lub też rozmyślnie ukrył się, aby podsłuchać rozmowę. W każdym razie był to jeden z Hindusów, stanowiących służbę księcia Kiwani...

Innym razem znowu schronili się do palarni, sądząc, że tu będą bezpieczni i w chwili, gdy księżna Sahadża przeglądała się w niewielkiem lusterku ręcznem, ujrzała w niem odbicie postaci sekretarza Matjasego, który stał za wielką lustrzaną szybą stanowiącą wejście do palarni.

A więc szpiegowano ich... Kierowała tem nietylko zazdrość ministrów indyjskich, widzących w Gewolskim niebezpiecznego rywala. Na oknie znajdowało się dwoje ludzi, którym nic pod tym względem zarzucić nie było można — albowiem czynić to musieli z obowiązku. Tymi ludźmi był Wiliam Perkins i towarzysz jego Johnnie, detektywi angielscy. Panowie ci nie dali jeszcze za wygraną i mieli ciągle jeszcze nadzieję wpaść na trop poszukiwanych fakirów. No, zapewne, nie udało im się we Francyi!... to zdarzyć się może najsprytniejszym ajentom! W Scotland Yard wiedziano, że nie zasypiali oni sprawy i śledzili zbiegów w Szwajcaryi, Tyrolu i dalej jeszcze. A im bardziej oddalali się od granic państw europejskich — tem łatwiej mogli dokonać swojego zadania. Wysłano im też natychmiast pokaźną sumę pieniędzy, zapytując, czy jeszcze więcej nie potrzebują. Ale Johnnie nie czuł się obecnie zadowolony. Obawiał się, że ta gonitwa zaprowadzi ich w kraje, gdzie biedny jego żołądek pozbawiony zostanie wielu przyjemnych wrażeń. Na szczęście John Perkins wpadł na genialną myśl, że najlepiej będzie, gdy udadzą się do kraju zamieszkiwanego przez fakirów i tam ich pochwycą na miejscu. A nie ulega najmniejszej wątpliwości, że powrócą tam przez Turkestan, góry Pamir i Tybet. Wiliam Perkins byłby się o to zało żył z przyjemnością o tuzin butelek rumu i dwa tuziny butelek whisky. Na uwagę uczynioną przez księcia Kiwani, że Indye są długie i szerokie — Wiliams Perkins odpowiedział z godnością, że dużo wody jest w rzece, ale jeszcze więcej w morzu, a pomimo tego, rzeczny rybak zawsze pochwyci upatrzoną rybę, mając w ręce dobrą przynętę! — A przynęta Wiliama Perkins była wspaniała! Trumna lakowa! A ta trumna musiała być bardzo cenną dla fakirów, skoro narażając się, stracili kilka godzin, aby ją tylko dostać w ręce, zamiast uciekać nie tracąc ani minuty po za granice Francyi!

Przywożąc trumnę lakową do Indyj, Wiliam Perkins mógł być pewny, że fakirzy w niedługim czasie zechcą się o nią upomnieć. W tym celu Wiliam Perkins zredagował dla dzienników angielskich ogłoszenia, które oznajmiały, iż trumna lakowa, świętość Indyjska, została zwrócona trupie indyjskiej, która ją wystawiała w Londynie. Trumna ta wraz z całą trupą, podróżowała obecnie na „Indyanie“, pod łaskawą protekcyą Jej Wysokości, księcia Kiwani i została złożoną pomiędzy najcenniejsze zbiory księcia. Otrzymana depesza przez drut głosiła, że deputacya Hindusów oczekiwać na nią miała w Kalkucie. Jeżeli więc fakirzy pospieszyli tak szybko z jaką karawaną po ziemi, jak „Indyana“ po morzu, Wiliam Perkins mógł się spodziewać, że odnajdzie tych łajdaków w porcie, w dniu, w którym wylądowywać będą! I tam dopiero rozegra się jedna z tych przebiegłych walk policyjnych, o której tak marzył stary ajent!...

Na razie więc, obydwaj detektywi oddawali się z całą swobodą wszystkim przyjemnościom podróży! Johnniemu przybyło sześć kilo wagi. Wiliam Perkins był jeszcze chudszy niż zazwyczaj i do reszty przepalał swoje wyschnięte ciało niezliczoną ilością wódki i fajek.

Jednakże nie przeszkadzało mu to wcale węszyć i łazić dniem i nocą po całym okręcie. To też Gewolski i księżna Sahadżi o ile nie napotkali jakiegoś Hindusa, kręcącego się koło nich z najniewinniejszą miną — o tyle mogli być pewni, że natkną się niespodzianie na Wiliama Perkinsa, lub na jego towarzysza. Przy każdem spotkaniu, obydwaj detektywi usuwali się natychmiast z oznakami najwyższego szacunku i galanteryi. Ale raz Gewolski odkrył w nocy chudego Perkinsa ukrytego pod zwojami lin na pomoście, drugi raz znowu grubego Johnniego rozłożonego wygodnie na macie, na której chciał usiąść z księżną Sahadżą w wielkich trzcinowych fotelach. Wszystko to mogło być naturalne, zważywszy na rodzaj swobodnego życia, jakie prowadzono na okręcie — ale Gewolski wiedział już teraz, że nie znajdzie łatwo bezpiecznego miejsca do sekretnej rozmowy ze swoją wspólniczką. Jednakże przed wylądowaniem w Kalkucie, uczuli oni oboje potrzebę porozumiewania się zupełnego i przygotowania obrony w razie grożącego niebezpieczeństwa, „Indiana“ — była już zaledwie o cztery dni drogi od stolicy indyjskiej.

W tym czasie Wiliam Perkins i Johnnie nagle zachorowali na żołądek. Johnnie, bo jadł dotąd za wiele, Perkins, bo pił za dużo wódki. Lekarz okrętowy otoczył ich troskliwą opieką — jednakże na prośbę księcia, Gewolski zgodził się na odwiedzenie chorych detektywów. Starannie zbadał obydwóch i potwierdził to wszystko, co lekarz okrętowy im zapisał. Johnniemu ścisłą dyetę, a Wiliamowi Perkinsowi użycie wody Vichy zamiast wódki. A że obydwaj zaczynali cierpieć na męczącą ich bezsenność, Gewolski zapisał im jeszcze pigułki z opium, które obiecał sam przyrządzić·



Długą chwilę przetrząsali jeszcze szczątki spalonego automobilu

Gewolski odetchnął. Był pewny, że tej nocy on i księżna Sahadża, będą mogli porozmawiać swobodnie, uwolnieni na ten raz od przebiegłych spojrzeń starego ajenta. Wszystko tego wieczora składało się dla nich wyśmienicie. Książę uczuł się znużonym po kolacyi, i udał się wcześniej do swojej kabiny — za jego przykładem poszło całe otoczenie, nie wyłączając księżnej, ktora dnia tego skarżyła się na ból głowy. Gewolski jednak musiał towarzyszyć księciu, ale pomimo wielkiego przymusu ze strony doktora — rozmowa się nie kleiła, a książę tylko z grzeczności odpowiadał na słowa swego przyjaciela.

— Najwyższy czas, abyśmy już stanęli na miejscu — odezwał się wkońcu książę. — Ociężeliśmy tutaj wszyscy niemożliwie. Próżnujemy, jemy i trawimy, oto nasze całodzienne zajęcie.

Ociężałość rzeczywiście ogarnęła wszystkich pasażerów. Już koło jedenastej godziny nie było nikogo na pokładzie oprócz warty i oficera służbowego.

O drugiej wyszedł Gewolski ze swej kabiny i przywitawszy oficera, oświadczył mu, że po przespaniu ciężkim snem kilku godzin, obudził się i nie był już wstanie zasnąć po raz drugi. Zapalił cygaro i zaczął przechadzać się po pomoście.

Wkrótce z drugiej strony wyłoniła się druga sylwetka — i gdy po chwili księżna Sahadża i Gewolski zeszli się na tyle okrętu, byli przekonani, że znajdują się tu sami.

— Nareszcie! — wyszeptali równocześnie.

Poczem Gewolski zapytał gorączkowo:

— Powiedz mi, księżno, jak ułożyć się mają nasze sprawy w Indyach?

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa, mój przyjacielu — odpowiedziała księżna — przybędzie tłum, aby powitać mojego małżonka — no i mnie — dodała uśmiechając się ironicznie. Wielką rolę w tej manifestacyi grać będzie ta trumna lakowa, która w wyobraźniach tych ludzi przybrała formę czegoś wielkiego i świętego! Zapewne przybędzie również gubernator Indyi i zaprosi nas do pałacu swojego, gdzie przebędziemy jeden dzień, i gdzie pan nam towarzyszyć będzie· Książę Kiwani zechce bowiem okazać zaraz wszystkim, jak wielką wagę przywiązuje do pana osoby i że w kraju jego będziesz zajmował naczelne miejsce narówni z jego ministrami.

Będzie to malowniczy wieczór! zaręczam ci! Niejeden taki będziesz mógł ujrzeć w Indyach. I zapewniam Cię, że się nudzić nie będziesz!

— Nie żartuj ze mnie, Leonio! — syknął Gewolski rozdrażniony. — Nie po te błahe przyjemności przybywam przecież do Indyi.

— Wybawienia chcesz szukać tu, mój przyjacielu?

— Wybawienia? Nie rozumiem cię, Leonio. Wiesz, że gdziekolwiek bym się znajdował, potrafię sobie stworzyć odpowiednie dla siebie środowisko! Jeżeli zgodziłem się podążyć tu za tobą i na zawsze przy tobie pozostać, to dlatego, że sama wywołałaś przed oczy moje obraz potęgi, jaka tu na mnie czeka i że znajdę tu zadowolenie, jakie odczuć może dzisiaj człowiek wyższych aspiracyj — możność panowania nad istotami ludzkiemi — możność panowania nad krajem całym, mając przy sobie ciebie, księżno!

— Szczęśliwie się składa — odparła księżna Sahadża z gorzkim uśmiechem — że w całym tym pięknym planie, zbudowanym na ambicyi i nadziejach — pomyślałeś i o mnie, mój kochany!

— Czy miałem ci ciągle o tem mówić, Leonio? I czy sądzisz, że przyjąłbym propozycye księcia, choćby najwspanialsze, gdyby on nie był twoim małżonkiem? Wiesz dobrze, że ty jesteś moją ambicyą najdroższą!

— I syn twój!

— I syn nasz! — odpowiedział Gewolski z goryczą.

— Jest on więcej twoim synem, niż moim, mój kochany! Bo ja, nie mogąc, uznać za swoje dziecko wobec świata, byłam zmuszona zapomnieć o nim! Ty byłeś dla niego i ojcem i matką! W nim to pokładasz najdroższe swoje nadzieje... chyba, że spotka cię z jego strony smutne rozczarowanie!

— Jeżeli się to stanie, będzie to wyłącznie twoją winą! Tyś nam naprowadziła tę idyotyczną, sentymentalną rodzinę, tego starego waryata z córką... nie licząc już panny od telefonu!

— Nie ruszajmy już lepiej tego przedmiotu, mój kochany! Jak ci już mówiłam, ci ludzie będą moim okupem... i zaręczam ci, że będą dobrze strzeżeni z chwilą, kiedy staniemy na indyjskiej ziemi! Jeżeli Stanisław zechce naprawdę uczynić to głupstwo i poślubić tę małą — to będzie miał zemną do czynienia... a właściwie ona! Tem gorzej dla panny Lusi, jeżeli zmusi mnie do ostatecznego kroku, mającego uwolnić Stanisława z jej więzów! Ale mój drogi! — zawołała z wybuchem najwyższej ironii — jakże ty wychowałeś tego syna... naszego syna! Zkąd w tym chłopcu wzięto się tyle naiwności i serca! Jakże tu teraz wierzyć w dziedziczność!

(Ciąg dalszy nastąpi).





Święto grunwaldzkie w Niepołomicach:

Banderya Krakusów, otwierająca pochód deputacyj. Dzieci włościańskie wiozły ostatnie taczki ziemi.

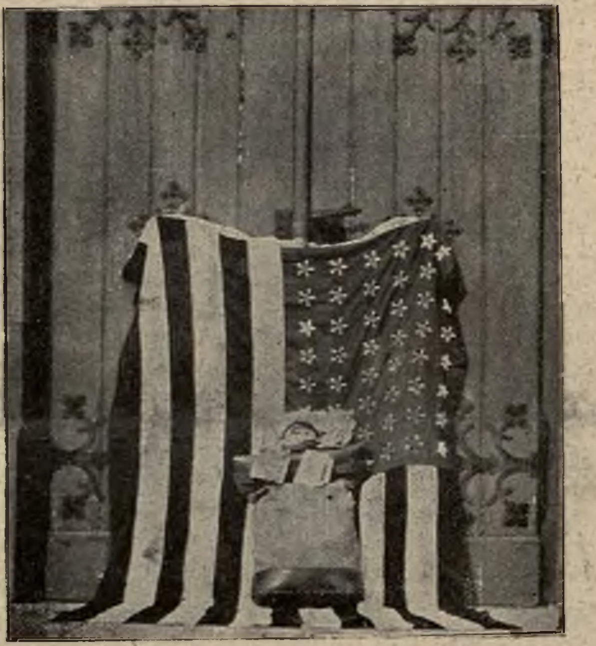
Święto grunwaldzkie w Niepołomicach.

Pamiątka zwycięztwa grunwaldzkiego, kopiec sypany w Niepołomicach, w ubiegłym tygodniu zbliżyła się do wykończenia. Przywiezienie przez specyalną delegacyę amerykańską ziemi z 500 grobów polskich za Oceanem, dało impuls do wielkiej manifestacyjnej wycieczki do Niepołomic, gdzie ją uroczyście złożono i nadsypano na niej kopiec prawie do wierzchołka.

Ziemię amerykańską powieźli z Krakowa do Niepołomic na łodziach Wisłą Sokoli krakowscy, z nad brzegu Wisły na sztandarze amerykańskim do Sokoła w Niepołomicach, stamtąd pod strażą banderyj i skautów do stóp kopca, a na sam kopiec wnieśli ją na złożonych karabinach członkowie „Sokoła" krakowskiego. W tej chwili rozległa się salwa wystrzałów.

Rozpoczęto przemowy. Najpierw zabrał głos p. Wimmer, prezes komitetu dla sypania kopca w Niepołomicach, po nim p. Starzyński, przewodniczący delegacyi amerykańskiej i prezes Związku Sokołów w Ameryce, który złożył nadto 2400 koron na koszta wykończenia kopca. Następnie przemówił dr. Prądzyński z Raciborza imieniem Górnoślązaków, których wielka, bawiąca w Krakowie wycieczka wzięła udział w uroczystości, a zakończył piękną przemową prezes „Sokoła" krakowskiego p. Turski. 500 woreczków z ziemią złożono w specyalnej cynkowej trumience, dołączono ziemię z krakowskich grobów i ziemię z pod Grunwaldu. Rozległa się trzykrotna salwa wystrzałów, dźwięki pieśni i orkiestra muzyki. Trumienkę zasypano ziemią, a następnie zaczęto dalsze sypanie kopca, w czem wzięły udział ochoczo tłumy ludzi.

Na uroczystość tę przybyły tysiące — zarówno ludu z pobliskich okolic, jak gości z Krakowa. Rzecz cała odbyła się w nadzwyczaj podniosłym i wzruszającym nastroju. Kopiec, uwieńczony chorągwiami, otoczony mrowiem ludzkiem, przedstawiał się malowniczo.



Święto grunwaldzkie w Niepołomicach: Worki z ziemią amerykańską, przysłaną przez wszystkie tamtejsze gniazda sokole.

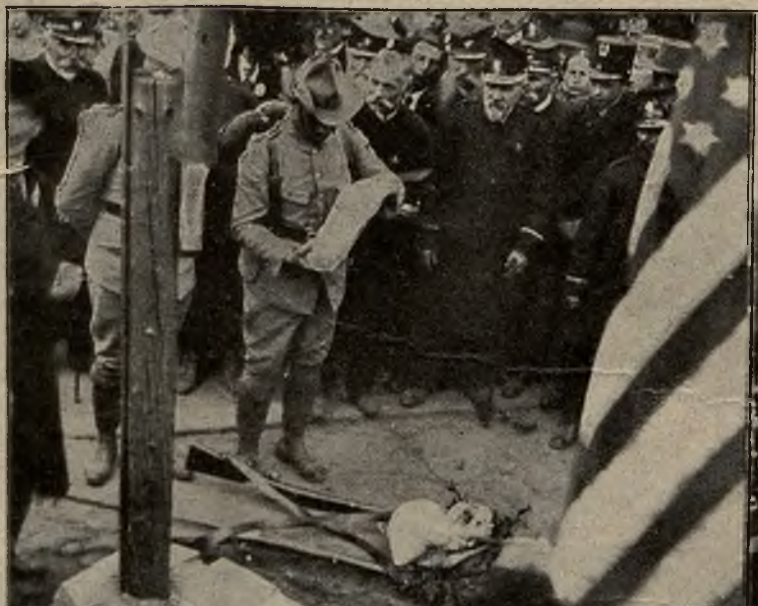
Nowe jabłko niezgody europejskiej.

„Nie miała Austrya kłopotu, stworzyła sobie Albanię" — to zmienione przysłowie najlepiej charakteryzuje „sukces" polityki hr. Berchtolda. Bałkany były zawsze „wulkanem Europy", która miała i ma ciągle kłopot ze sprawą turecką, serbską, bułgarską i grecką. Obecnie na „wulkanie bałkańskim" powstał nowy krater — albański, który nietylko stał się nowem jabłkiem niezgody państ europejskich, ale zdołał już poróżnić „wiernych" sojuszników trójprzymierza. Humorystyczne państewko ks. Wieda, z takim trudem stworzone przez Austryę, stało się nowem zarzewiem antagonizmu austryacko-włoskiego. Włochy usiłują nałowić dla siebie jak najwięcej ryb w mętnej wodzie albańskiej, o czem najwymowniej świadczą konszachty przywódców albańskich z przedstawicielami dyplomacyi włoskiej. „Dziecię Austryi" umizga się najwyraźniej do Włoch, nie kryjąc się wcale z temi sympatyami. Po wybuchu rewolucyi albańskiej pospieszył do Rzymu zarówno przedstawiciel urzędowej Albanii, prezydent gabinetu albańskiego Turkan pasza, jak przywódca rewolucyonistów albańskich Essad pasza. Że te narady albańsko-włoskie nie idą na rękę Austryi, nie trzeba dodawać.

Jeden z epizodów tej „zdrady" Albańczyków — wizytę Turkana paszy w Rzymie — przedstawia nasza illustracya.

Złowroga Etna.

Wulkan Etny nie przestaje być „aktualnym". Stwierdzone już zostało, że niedawne trzęsienie ziemi na Sycylii, które tyle szkód narobiło, to jego sprawka. W związku z tem wzmogła się jego czynność. Nowe, boczne kratery zaczęły funkcyonować i grożą w przyszłości niejedną jeszcze może katastrofą. Zdjęcie z wybuchu tego krateru, które podajemy, da Czytelnikom pojęcie o zgrozie i zarazem wspaniałości tego zjawiska.





Święto grunwaldzkie w Niepołomicach:

Akt złożenia ziemi amerykańskiej i z pod Grunwaldu do trumienki na szczycie kopca. Podczas uroczystości tysiączne tłumy otaczały kopiec grunwaldzki.

W sprawie naszej Wielkiej Szarady!

P. T. Prenumeratorów, którzy dotąd wygranych jeszcze nie odebrali, upraszamy o zgłaszanie się do naszej Administracyi najdalej do końca tego miesiąca. Fanty, do tego terminu nie odebrane, przepadają na rzecz Wydawnictwa. *Redakcya.*

Kronika tygodniowa.

Żywot kronikarski, aczkolwiek w gruncie rzeczy wcale przyjemny, ma przecież i swoje ciemne strony, a jedną z nich jest stanowczo chwila przygotowywania materyału, który powinien być bardzo urozmaicony, więc słusznie przypominający groch z kapustą, a przecież lekko strawny.

Koledzy po piórze, rezydujący w Warszawie i we Lwowie, są stanowczo w lepszem odemnie położeniu, oni niemal codzień mają jakąś sensacyę, że wspomnę tylko proces Bispinga i Bendasiuka, trzęsienie ziemi i t. d. Spokojny Kraków zdobył się na Wilczka i na tem koniec, ale Wilczek drapnął i nikt nie wie, gdzie się obraca, choć pisma codzień podają zaczerpniętą z najlepszego źródła wiadomość, że policya jest już na jego tropie i lada chwila dostanie go w swe ręce.

Ze zmartwienia zabrałem się nawet do czytania poezyi naszych młodych wieszczów, myśląc, że bodaj tutaj uda mi się zaczerpnąć natchnienia, niestety, zawiódłem się szkaradnie, pierwszy bowiem meander, jaki wpadł w me ręce, rozgoryczył mnie do najwyższego stopnia.

Pozwolę sobie przytoczyć go w całości:

Zadużo książek drukują drukarze
U nas, a czyta się tego zamało,
Więc co tu zaraz okrywać się chwałą,
Gdy bibliografia z blamażem pokaże,
Że to brewiarze są i kalendarze
I tomy z poezyą sparciałą!...

Autorem owego „poematu“ jest mąż w dziejach najnowszej literatury polskiej znany, zdobył sobie już rycerskie ostrogi w służbie Apollina, mnie jednak przemówić do duszy nie potrafi, na jedno tylko mogę się z nim zgodzić, że nasza sztuka rymotwórcza sparciała rzeczywiście. Gdybym sam był poetą, a spostrzegł, że moja Muza i pegaz wyprawiają takie figle, ją oddałbym do obowiązku jako kucharkę, jego na służbę, choćby nawet do Zakładu czyszczenia miasta!

Ponieważ poezya zawiodła, trzeba było gdzieindziej oglądnąć się za natchnieniem, a trzeba pamiętać, że zaczyna się już kronikarski przednowek, czyli tak zwana kanikuła, to jest okres polowania na węże morskie, kaczki dziennikarskie i inne tego rodzaju apokaliptyczne potwory.

Dzięki Bogu przynajmniej, że Zielone Swięta były pogodne, można się było wybrać z rodziną bodaj na Bielany. Od dwu tygodni obiecywałem sobie, że zabawię się w księcia Wieda i wyjadę z Krakowa wiślanym pancernikiem, niestety, spaliło na panewce. Stan wody na Wiśle był tak nizki, że musiano przerwać żeglugę, kto więc miał ochotę odwiedzić pustelnię OO. Kamedułów, musiał trząść się dryndą lub dymać *per pedes.*

Zwołałem więc naradę familijną, na której większością głosów zapadła uchwała, że pojedziemy tramwajem na Panieńskie Skały!

Niechaj jednak kto nie myśli, że krakowski tramwaj przeprowadzono już aż na Wolę Justowską. Broń Boże! To dopiero projekt, który, nie wiadomo jeszcze, kiedy będzie zrealizowany, na razie bowiem brak pieniędzy staje temu na przeszkodzie. Kto jednak chciał, mógł sobie siąść w wozie tramwajowym, kursującym na przestrzeni Rynek—Park Krakowski i zajechać do teatru ludowego, gdzie dzięki Syndykatowi dziennikarskiemu, nie ruszając się z miejsca, można oglądać „Panieńskie Skały“ w całej ich okazałości.

Nie zmęczyłem się więc wcale, a jeden dzień Zielonych Swiąt spędziłem i przyjemnie i pożytecznie.

W drugi dzień, to jest w poniedziałek, wybrałem się na drogę prowadzącą w stronę Bielan, by obserwować wracających wycieczkowców.

Huk było luda, to prawda, każdy, kto tylko miał czas, spieszył za miasto, by odetchnąć świeżem powietrzem i nałykać się kurzu bodaj na cały tydzień. Nawet c. k. urzędnicy mieli wesołe miny, w poniedziałek wypadło bowiem pierwszego, więc przypłynęła flota, a każdy człek ma zawsze więcej fantazyi, gdy czuje w kieszeni bodaj kilka koronek.

Wracający z Bielan mieli jednak jakieś rzadkie miny. Zapytałem jednego z nich o powód, odpowiedział mi, że nie było tego roku w lesie bielańskim żadnej wilgotności.

— Tem lepiej! — odrzekłem. — Nikt się wobec tego nie mógł zakatarzyć...

— Tak! Ale czem ugasić pragnienie? Przecież chyba wody pić nie będę!...

— Aha! To o tego rodzaju wilgotność panu łaskawemu się rozchodzi?

— Naturalnie! Dawniej mieliśmy tu namioty z różnymi specyałami, tego roku nic, tylko woda i woda... Bielany tracą wobec tego cały swój dawny tradycyjny urok!

W oba dni świąt panował w Krakowie ruch niebywały, przybyło z różnych okolic a nawet z zagranicy mnóstwo osób, pragnących zwiedzić pamiątki i osobliwości Krakowa, kupcy i restauratorzy zacierali z radości ręce i dla wzmożenia nastroju podwyższyli ceny, a zmniejszyli porcye...

Bardzo to słuszne, obcy dłużej będą pamiętać Kraków, gdzie im tak patryotycznie obciągnięto skórę.

Skończyliśmy więc świątkowanie, zaczyna się znów szarzyzna codziennego życia i oczekiwanie zmiany kwartału... A będą to gorące czasy, gdyż trzeba będzie myśleć o wysłaniu rodziny, jeśli gdzieś nie nad morze, to bodaj na południe, to jest w okolice Podgórza lub Skawiny, które to miejscowości leżą od Krakowa mniej więcej w południowym kierunku. Tam mogą wieść żywot prawdziwie sielski, anielski, rozkoszować się świeżem powietrzem, kwaśnem mlekiem i kąpielą i wejść w bliższą styczność z naszym ludem, który bardzo lubi letników, o ile oni przywiozą ze sobą dość monety, a mało mają wymagań.

Otóż, aby o ową nieszczęsną monetę się postarać, postanowiłem na własną rękę zapolować na Wilczka, aby zdobyć bodaj wyznaczoną za jego odnalezienie premię w kwocie tysiąca koron i procent od odebranych odeń pieniędzy. Żal mi bardzo, że sto czterdzieści tysięcy koron już jest, ale trudna rada, Wysoki Rząd ma szczęście. Ja swojego czasu zgubiłem dziesięć koron i do dnia dzisiejszego nie wiem, co się z niemi dzieje. Ale ja, to co innego, skarb państwa, co innego. Taki nigdy nie traci!

Jak już w poprzedniej kronice wspomniałem, cała owa afera z Wilczkiem jest bardzo piękną illustracyą austryackiego „szparsystemu“. Każdy z przełożonych najrozmaitszych instytucyi uważa sobie za punkt honoru robienie oszczędności, aby potem otrzymać za to pochwałę wyższych sfer i może jakiś orderek, zapomina jednak, jak na tem cierpi i personal podwładny i publiczność, co zaś najważniejsze, sama instytucya.

Dla oszczędności zwija się więc posady, urzędników zastępuje się woźnymi lub podurzędnikami i potem się dziwi, że maszyna cała, zamiast iść gładko, skrzypi i trzeszczy i raz po raz się psuje.

Ilekroć czytamy o jakiejś katastrofie kolejowej, za którą potem skarb państwa płacić musi bajońskie sumy, można być pewnym, że powodem był ów „szparsystem“. Człowiek jest niczem więcej, tylko człowiekiem, jeśli więc w imię oszczędności przeciążony jest pracą, nic dziwnego, że mimowoli zaniedba się w służbie i staje się przyczyną nieszczęścia, za które potem cierpi nieraz w kryminale, choć on sam właściwie nie powinien ponosić winy, ale cały system!

Zaoszczędzono dajmy na to tysiąc koron, jako odszkodowanie wypłacono nieraz i po kilkaset tysięcy. I to się nazywa racyonalna gospodarka!

Zupełnie podobną była sprawa Wilczka. Człowieka, który miał już na sumieniu kilka grzeszków i za karę przeniesiony został do Krakowa, daje się do służby tak odpowiedzialnej, jak ekspedycya listów pieniężnych, co zaś najważniejsze, dodaje mu się dla kontroli... woźnego, który funkcyi tej albo wypełnić nie potrafi, albo też nie chce, gdyż jakoś to dziwnie wygląda, by miał patrzyć na palce człowiekowi, stojącemu odeń na daleko wyższym stopniu hierarchii społecznej.

Zarząd poczty oszczędził zato w ciągu roku przeszło tysiąc koron!

Korzystając więc ze sposobności, postanowił Wilczek osłodzić sobie gorzką dolę i podzielić się z Rządem monetą, zwłaszcza, iż przypuszczał, że w ten sposób wywrze zemstę na swych przełożonych.

I niewiele brakowało, a byłoby mu się udało! Lecz, niestety, biedak miał obrzydliwego pecha, potrafił unieść zaledwie pięćdziesiąt tysięcy koron, choć wtajemniczeni powiadają, że tego stanowczo będzie więcej. Strony wysyłające pieniądze dla oszczędności deklarują mniejszą kwotę, niż list zawiera, poczta zaś odpowiada tylko za to, co urzędownie zgłoszono. Zdarzyć się więc może bardzo łatwo i rzeczywiście zdarza się często, że list, opiewający dajmy na to na tysiąc koron, zawiera ich dziesięć tysięcy, a między listami, którym Wilczek kark skręcił, mogło być właśnie i takich kilka i to jego cały zysk z tego przedsięwzięcia bardzo ryzykownego.

Wspólnicy Wilczka byli bardzo gadatliwi, dzięki ich wskazówkom udało się odnaleźć część skradzionych pieniędzy, miejsce pobytu głównego sprawcy może wskaże pan Rubini, który obecnie zadziwia Kraków swemi produkcyami telepatycznemi.

Polowanie na Wilczka nie uda mi się też z pewnością, nie otrzymam wyznaczonej nagrody (choć obawiałbym się nawet po nią zgłosić, by mnie nie przymknięto, jak ongiś Godulę), wobec tego nie wyjadę z rodziną na wakacye ani bliżej, ani dalej. Pocieszam się przecież myślą, że wyjdzie mi to tylko na dobre, gdyż lato u nas lubi być mokre, przyjemniej więc i wygodniej siedzieć w tym czasie w mieście, choć i tutaj błota nie brakuje.

Zresztą zjeżdża do nas operetka lwowska, będzie się można rozweselić godziwie i bodaj na kilka godzin zapomnieć o swych zmartwieniach i kłopotach.

A któż ich dziś nie ma?... Taki chyba jeszcze się nie urodził!

Ot, nawet tak wybitny działacz społeczny i „przyjaciel“ Polaków, jak pan Semen Wityk, ukraiński socyalista, gdy mu w Galicyi zaczęło być niewygodnie, podobno ma zamiar siąść na okręt i wyjechać do Ameryki, gdzie nań z otwartemi rękami czekają inni „heroje“, n. p. Siczyński i Kratt... Jeśli tak dalej pójdzie, kwestya ukraińska rozwiąże się sama przez się, gdy ober-macherzy opuszczą niewdzięczną Galicyę i wyemigrują dalej, niż za San, bo za Ocean... Płakać za nimi będą tylko ci, których kieszeń na tem poważniej ucierpiała.

Tak samo nie będę wcale płakać, ani ja, ani żaden sądzę z Czytelników (chyba może która z czułych Czytelniczek?...), gdy nadbieży z Wiednia smutna wiadomość o dymisyi pana Berchtolda, który gruntownie pokpił sprawę. Zarzucają mu, że popełnił tylko dwa grube błędy, mianowicie, iż poświęcił się karyerze dyplomatycznej, do której wcale nie dorósł, nie potrafiąc się oryentować, zwłaszcza w sprawach wschodnich, po drugie zaś, iż zbyt poddał się wpływom swej żony, Węgierki rodem i całą politykę zagraniczną monarchii prowadzi w duchu czysto madziarskim, narażając na szwank powagę państwa.

Otóż to prawda! Niewiasta, która stworzoną jest do tego, by wsadziła nos w garnek, jeśli zabierze się do polityki, może wielce złego nawarzyć. Przykładów na to mieliśmy chyba dość. Wszak już praojciec nasz, Adam, wyleciał wbrew swej woli z raju dlatego, że zbyt słuchał swej żony... To samo czeka teraz nowoczesnego Adama, excellencyę Berchtolda, który chciał mamę Austryę utwierdzić w władaniu rajem bałkańskim, a tymczasem raj ten zamienił się tak prędko na piekło!

Wojna dwóch Ameryk.

(Do illustracyi na str. 2).

Wojna pomiędzy Meksykiem a Stanami Zjednoczonemi przycichła na razie. Przycichła jednak tylko, mówimy, albowiem w rzeczywistości jest to walka, która zdaje się musi być stoczona z decydującym wynikiem. Ameryka północna anglo-saska, dąży świadomie i celowo do zapanowania nad łacińsko-indyjską Ameryką środkową i Południową. Ta ostatnia oczywiście broni się, konsoliduje swoje siły i może uniknie podboju. Ale wskutek swoich bogactw naturalnych stanowi ona zbyt łakomy kąsek, aby Jankesi tak łatwo się jej wyrzekli. Narazie, nie czując sił dostatecznych, zaniechali oni dalszej inwazyi i podboju. Ale zbierają do niego siły. W tym celu rządzący w istocie Stanami miliarderowie „króliki“ dążą do rozbudzenia szowinizmu u mas ludowych swych współziomków. Jako dobry środek w tym kierunku wybrali manifestacyjny pogrzeb ofiar wojny meksykańskiej w Nowym Jorku, z którego zdjęcia podajemy.



Proces ordynata Bispinga: Oskarżony opuszcza pod konwojem gmach sądowy.



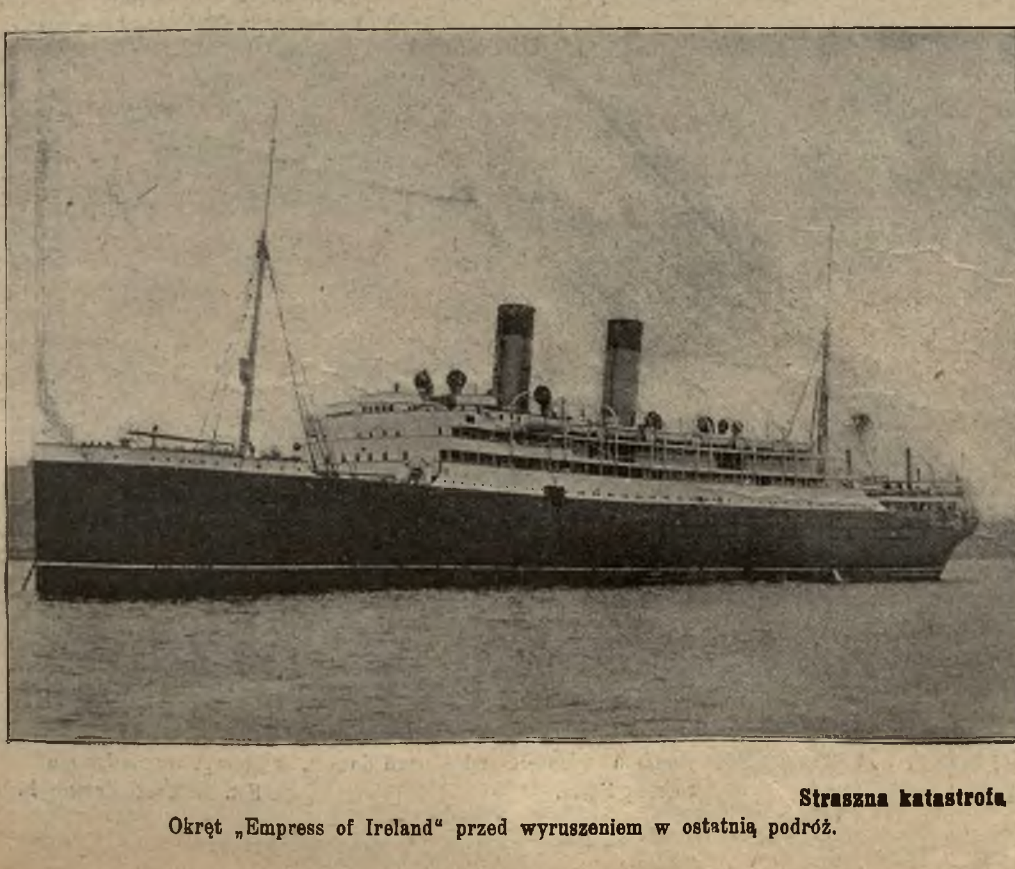
Swięto grunwaldzkie w Niepołomicach: Goście z Górnego Śląska pod kopcem

Zielone Swiątki na Bielanach.

Raz na rok ożywia się zaciszny klasztor OO. Kamedułów na Bielanach — ale ożywia się bardzo goszcząc w swych murach i sąsiedztwie nieprzeliczone tłumy, które tradycya, wolne dni od pracy, pogoda i maj sprowadziły. W dobie gdy wiele naszych tradycyj zanika, wędrówka tłumu Krakowa i Warszawy do lasów Bielańskich ma bodaj że najwięcej stron dodatnich i zdaje się długo przetrwa. Tam wyruszają szerokie warstwy, by zabawić się, pomodlić, rozerwać a kto widział ten barwny i wesoły tłum jak ruchliwym wieńcem otacza kościół — przyzna racyę istnienia podobnych tradycyj. Wielu z tych gości odpustowych raz bodaj w rok odetchnie pełną piersią powietrzem leśnem i spędzi w niem kilka beztroskliwych godzin. Każdy bawi się na swój sposób a różne hałaśliwe i niezbyt wybredne „instytucye“ zabawy jak karuzel, huśtawka etc. dostarczają przybyłym emocyi i wrażeń... nieraz na długo pamiętnych. Ale tłum się bawi, a to potrzebne — na równi z... chlebem, co przyznali najzatwardzialsi wątrobiarze.



Zielone Swiątki na Bielanach: Zabawy ludowe na Bielanach krakowskich.





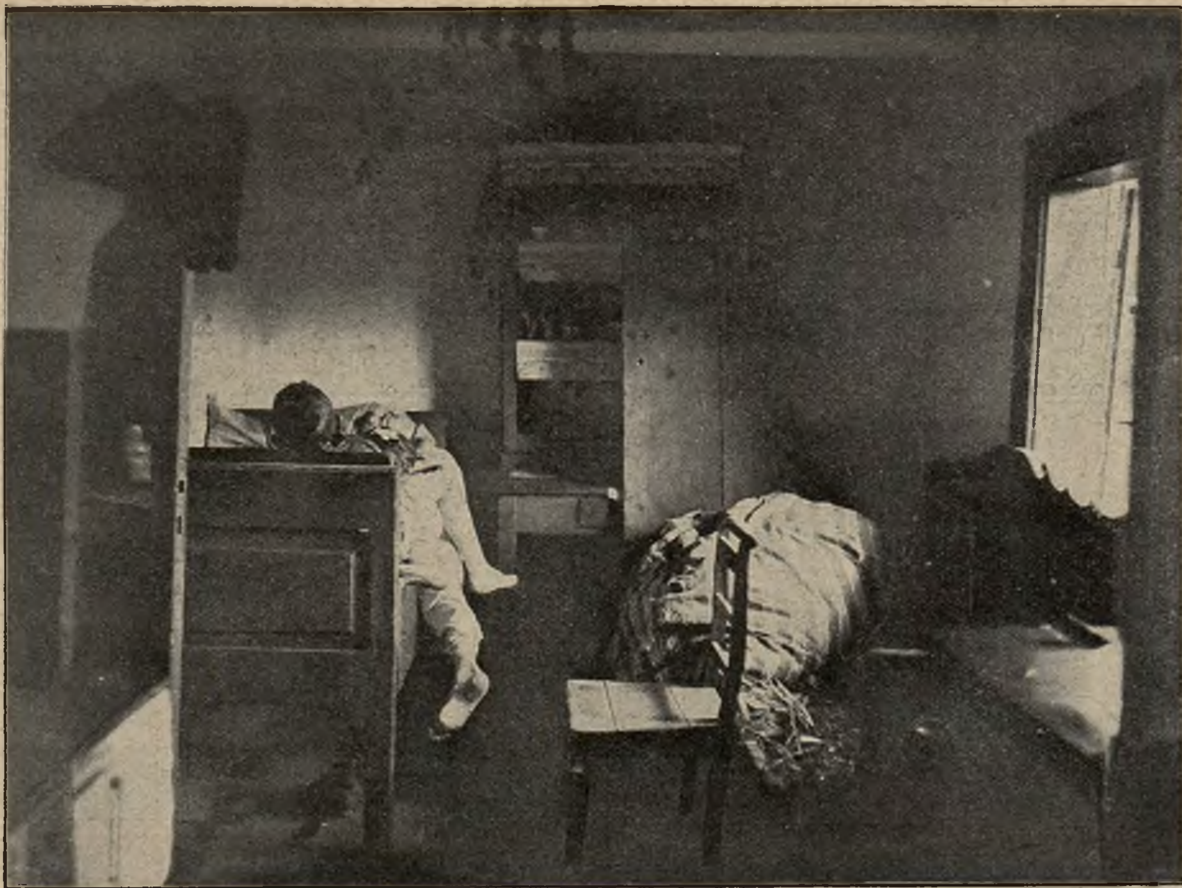


Straszna katastrofa okrętowa:

Okręt „Empress of Ireland“ przed wyruszeniem w ostatnią podróż.

Kapitan zatopionego okrętu mr. Kendal.

Telegrafista Ferguson, który zginął, dając do ostatniej chwili sygnały ratunkowe.



Wymordowanie całej rodziny pod Przemyślem: Miejsce zbrodni ze zwłokami ofiar morderstwa.



Wymordowanie całej rodziny pod Przemyślem: Inspektor Bandura z psem policyjnym ze Lwowa





Proces ordynata Bispinga:
Z więzienia do sądu ordynat Bisping udaje się w swej prywatnej karecie. W sali sądowej. (X) Ordynat Bisping. (XX) Obrońca mecenas Papieski.



Wymordowanie całej rodziny pod Przemyślem: Sędzia śledczy p. Krogulecki (X) z pozostałym przy życiu 10-letnim Fussem.



Wymordowanie całej rodziny pod Przemyślem: Komisya sądowo-lekarska przed domem, w którym wymordowano rodzinę Fussa. (Fot. M. Todt, Przemyśl).



Wymordowanie całej rodziny pod Przemyślem:
Morderca rodziny Fussa, kanonier Kaczmar.



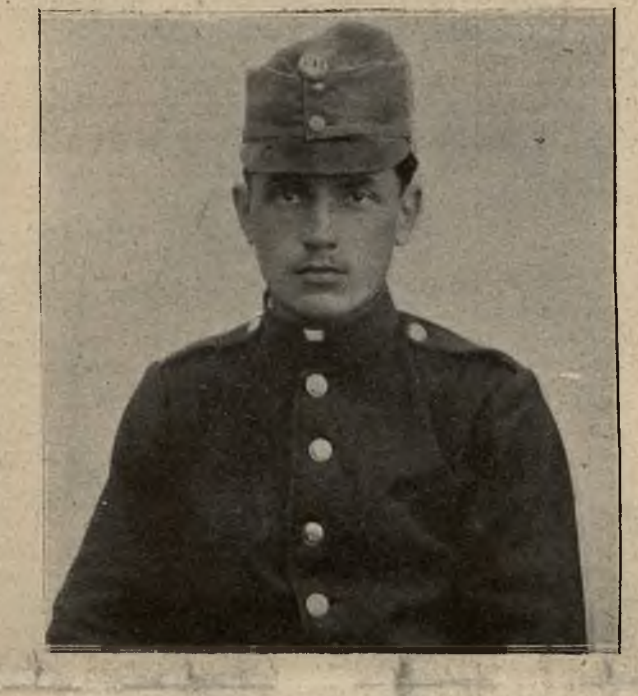
Zaciekłość sufrażystek: Walka policyi angielskiej z sufrażystkami

Proces ord. Bispinga.

Kilkanaście już posiedzeń zajęła sprawa ord. Bispinga, a załatwiono dopiero kwestyę rozpatrzenia wyników śledztwa sądowego. W sensacyjnej tej sprawie, osłoniętej tajemnicą, przesłuchano dopiero 88 świadków oskarżenia i mimo mozolnie nagromadzonych przez prokuratora poszlak i szczegółów, stanowczo nie można orzec, by wina ord. Bispinga, lub też jego niewinność ujawniła się jaśniej niż była w pierwszej chwili wykrycia zbrodni. Smutna i trapiąca tajemnica niestety mimo wielu przebłysków śledztwa nie została odsłonięta. Może zrobi to dalszy ciąg sprawy.

Wymordowanie całej rodziny pod Przemyślem.

Jakimś nieszczęśliwym zbiegiem wypadków Przemyśl stał się w ostatnich dniach terenem okropnych zbrodni, drugą już bowiem w krótkim przeciągu czasu zanotować nam przychodzi. Onegdaj znowu wstrząsnęła tem miastem wiadomość o barbarzyńskiem wymordowaniu sześciu osób w poblizkich Pikulicach, w celach rabunkowych dokonanem. Strasznego mordu dokonano na osobach: tamtejszego dostawcy mięsa do wojska — Markusa Fussa, jego żonie, trojga dzieci i przybyłej w odwiedziny dziewczynki 14-letniej. Fussa mieli w okolicy za zamożnego a rabusie dowiedzieli się, że w tych dniach pobrał on od wojska większe sumy.



Wymordowanie całej rodziny pod Przemyślem:
Morderca rodziny Fussa, kanonier Rybczak.

Szczegóły morderstwa są już dokładnie wiadome. Opowiadanie najstarszego ocalałego synka Fussów, Mojżesza, mrozi wprost krew w żyłach. Okazuje się bowiem, że mordercy mordowali ojca w oczach matki, następnie, z nieludzkiem, zwierzęcem okrucieństwem w oczach dzieci zamordowali matkę i wreszcie, jakby oszołomienni żądzą krwi, w oczach młodszych mordowali starsze dzieci.

Wymordowani zostali: Markus Fuss, lat 48, Gitla, jego żona, lat 44, Aron, lat 18, Boruch, lat 11, Izak, lat 8, synowie, oraz 14-letnia Regina Fraenkel, która przyjechała dzień przedtem do Fussów w gościnę. W niebezpieczeństwie życia znajduje się ciężko poraniona służąca 20-letnia Rozalia Łapicka. Uratowało się tylko dwóch synów Fussa, 10-letni Mojżesz i 6 letni Uszer, oraz 3-letnia córeczka Mirim. Jak stwierdzono rabusie, którzy dla rabunku zamordowali sześcioro osób, zrabowali 2 K 60 h. i drobiazgi, łącznej wartości 60 koron.

Zbrodnię wykryto na drugi dzień i policya sprowadziła do poszukiwania psa ze Lwowa, który naprowadził na ślady morderców. Są to dwaj żołnierze 30 p. artyleryi Iwan Kaczmar i Wasyl Rybczak. Pierwszy z nich przyznał się do winy.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 21.

Łamigłówka: Proces Bispinga. Para, rada, Omar, cela, Ezaw, Sara, Baku, Iran, soda, pasy, igła, noga, góra, Amur.

Krzyż magiczny:

C L G M A
z o r e g
C z e k o l a d a
L o k o m o c y a
G r o m a d z k i
M e l o d r a m a
A g a c z a u s z
d y k m s
a a i a z

Przysłowiówka: Czem dalej w las, tem więcej drzew. Czem chata bogata, tem rada.

Logogryf:

R
Ł a d
S e w e r
C i s
K a t a r
K a n
M a g i a
K u r a c y a
B i w a k
E r a
B r o d a
S ł o ń s k i
C z a s z k a
K a r a k o r u m
K a r l i ń s k i

Zagadka literacka:

W kleszczach.
Orły.
Czarny rok.
Ze świata.
W matni.
Ziarna i plewy.
Bez dogmatu.
Angela.
Nie twoja.
Mefisto.
Oczarowana.
Skarb.
Za honor ojca.

Bilety wizytowe: Rękawicznik. Lekarz. Adwokat. Finansista. Parasolnik.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, J. Solecki Kraków, M. Wyka Rzeszów, R. Madejski Lwów, M. Rychlik Jasło, S. Sokołowski Kraków, Z. Dębiński Lwów, K. Stojanowski Stanisławów, M. Sikorska Stanisławów, R. Bukowski Kijów, J. Kaczkowski Drohobycz, A. Siatka Kraków, S. Karwowski Berlin, H. Tymińska Lwów, J. Piątek Podwołoczyska, J. Stanisławski Czerniowce, M. Kot Sambor, A. Kosiński Kolbuszowa, W. Ostrowski Łódź, J. Łopatkiewicz Jasło, J. Kozicki Stanisławów, L. Lang Kraków, J. Nowacki Lwów, J. Czarkowski Uhnów J. Orzechowski Kalisz, H. Chmurowicz Częstochowa, D. Engelberg Rzeszów, J. Lisowski Krosno, H. Topolnicki Kamieniec, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Kolbuszowa, T. Mazaraki Radom, B. Zbigniewicz Kraków, J. Broda Rzeszów, W. Wojciechowski Czerniowce, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, J. Popiel Kijów, M. Rieger Brody, H. Dębicki Lwów, M. Gawrońska Mińsk, L. Krokowska Częstochowa, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Tarnów, S. Bernatowicz Rzeszów, M. Klimek Cieszyn, S. Wiewiórowski Warszawa, S. Lipski Wiedeń, H. Czyżewska Warszawa, F. Knopf Jarosław, A. Balicki Stanisławów, H. Wysoczański Petersburg, S. Rogowski Kołomyja, T. Biliński Tarnów, A. Dużak Kraków, R. Radomski Czerniowce, H. Górska Lwów, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, M. Karpińska Lwów, J. Zachara Krosno, K. Król Kołomyja, J. Walter Podwołoczyska, S. Krzyżanowski Kraków, T. Szumski Ryga, J. Rosenbaum Rozwadów, D. Dorożyński Odessa, J. Krawecki Przemyśl, M. Więckowska Łódź, A. Pick Warszawa, K. Bandrowski Lwów, J. Kwaśniewski Przemyśl, F. Gebhardt Kraków, K. Moliński Sambor, J. Cisowski Warszawa, J. Sadowski Kraków, A. Gralewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, J. Antosz Kołomyja, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Trojacki Wiedeń, J. Biechońska Stanisławów, S. Lindenbaum Czerniowce, S. Galiński Sandomierz, J. Lichański Warszawa, K. Janik Drohobycz, R. Czapuczyński Kijów, M. Link Lwów, E. Niestenberger Lwów, C. Wang Tarnobrzeg, J. Wilczkiewicz Lwów, K. Sawliński Jasło, F. Blatterfeind Lwów, I. Brzostowski Krosno, J. Strojek Tarnopol, W. Świrski Piotrków, K. Misińska Złoczów, J. Śliwiński Brzostek, D. Ligęza Tarnów, W. Kalinowska Kalisz, S. Rogaliński Warszawa, J. Trepka Radom, J. Raczyński Kołomyja, H. Górska Lwów, K. Stefański Lwów, M. Winter Tarnopol, M. Klappholz Rzeszów, D. Łopatyński Kraków, S. Jasiński Rzeszów, H. Maciejowska Winnica, K. Armatys Lwów, H. Scholz Rozdół.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **H. Górska, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Najnowszy program teatru świetlnego „Uciecha", przynosi jeden z najpiękniejszych obrazów obecnego sezonu. Obraz nosi tytuł: „Tajemnice dworu królewskiego", wykonany jest przez światową firmę Pathé Fréres przy wielkim nakładzie kosztów i nader umiejętnej reżyseryi, przytem jest bardzo ładnie kolorowany. Treść niezwykle zajmująca, illustruje tajemnice dworu królewskiego we Francyi za czasów Henryka IV. i Ludwika XIII. Po raz pierwszy udało się firmie Pathé Fréres pozyskać dla tego obrazu najsłynniejszych artystów światowego teatru Komedyi francuskiej. Występują artyści tej miary, jak Leon Bernard, Paweł Capellani, Marek Gerard, Marcelle Fraince i inni. Gra najlepszych sił artystycznych nadaje „Tajemnicom dworu królewskiego", jako obrazowi filmowemu, pierwszorzędną wartość. Znawcy i wielbiciele sztuki dramatycznej mają sposobność zobaczyć grę wielkich artystów w rolach wielkich i wybitnych, zobaczyć mistrzów sztuki dramatycznej, znanych przeważnie w Krakowie tylko z nazwiska.

Oprócz „Tajemnic dworu królewskiego" w program wchodzi znakomita komedya amerykańska w 2 aktach: „Wszystko dobre, co się dobrze kończy", humoreska. „Biedermeier i świnka", piękne widoki z natury i inne.

Przedstawienia codziennie o godz. 4·30 do 11-stej.

Ważne dla cierpiących na nogi! Przeciw poceniu nóg i przykremu zapachowi potu najlepszym środkiem jest kosmetyczny preparat „Panax-Pasta". Wprowadzony w c. k. austr.-węgier. armii i żandarmeryi. Bliższe szczegóły podaje inserat w dzisiejszym numerze.

Ze świata kobiecego.

Przyjęcia latem.

Astronomowie, rolnicy i starzy, doświadczeni ludzie utrzymują stanowczo, że rok będzie upalny i suchy. Zatem rozpoczęta przezemnie w zeszłym numerze pogadanka o tem, jak przyjmować gości na świeżem powietrzu, ma stanowczo racyę bytu.

W Czerwcu, Lipcu czy Sierpniu chcą ludzie równie dobrze jak zimą widywać się, gawędzić i flirtować, ale tracą do tego zupełnie ochotę, gdy zmuszeni są pozostawać w upalnym pokoju i dusznej atmosferze. Dlatego panie, wyjeżdżające na letnie mieszkanie, powinny mieć na względzie jak i czem przyjmować będą. Przedewszystkiem przeto w jakich ramach odbywać się będą zebrania te wszystkie. U nas, niestety, rozpaczliwie mało dba się o estetykę „na świeżem powietrzu". Zdawałoby się, że zielone tło drzew i krzaków starczy za niewygodę drewnianych prostych stołków i ławek, że cień ich zastąpi brak obrusa, a różnobarwność kwiatów na łączce zharmonizuje się z najrozmaitszemi filiżankami i garczkami fajansowemi, pozbieranemi skąd się da, gdy gości więcej „najechało". Wystarczy przypatrzeć się naszym podmiejskim kawiarniom i mleczarniom w tak rozkosznych zakątkach jak: Skała Kmity, Czerna, czy Tyniec, z których cudzoziemcy stworzyliby raj ziemski. Jakież tam ramy znajduje zmęczony turysta? Izba karczemna, z szynkwasem, buda zbita ze starych desek, pełna czarnych i pokrytych nazwiskami stołów, na ścianie ordynarne koncepty pisane i wyrzynane; talerze, filiżanki, kubki wszystko jakby ubiegało się o rekord szpetności. A jednak proszę wierzyć, zachowanie się towarzystwa, które przybywa, w znacznej mierze zależnem jest od owych ram, w których się znajdzie. Jeżeli nasz przeciętny mieszczanin niechętnie chodzi do eleganckich cukierni, to nie dlatego, aby tam było drożej, bo w podrzędnych knajpach najbardziej żdzierają, ale dlatego, że dystyngowane ramy danego zakładu krępują go i powstrzymują od rubaszności. Gdy jednak w miejscu wycieczek będzie mleczarnia urządzona z wdziękiem i gustem, pójdzie do niej, w braku innej, ale nie będzie wyrzynał stołu lakierowanego, lub pokrytego grubym, ale czystym obrusem, ani rysował ścian bielutkich.

To samo odnosi się do pań które, zwłaszcza w niedzielę, przyjmują licznych gości przybywających z miasta. Niechże pamiętają o nich już przed wyjazdem na letnisko i zabiorą odpowiedni, fajansowy garnitur do kawy, serwety, a wśród spokojnego i dość bezczynnego życia na wsi, pomyślą zawczasu o przystrojeniu werandy, czy altany. Stoły i stołki ze zwykłego drzewa można własną ręką pokostować na biało. Na każde krzesło może uszyć poduszkę z perkalu, napchaną sianem. Powinna na to kupić perkalu w kwiaty, z odpasowaniem, rożnych, tak żeby nie więcej jak po dwie było jednakowych. Szlak można na każdej umieścić inaczej: raz w kształcie ramy, raz rzucony skosem przez środek, na innej skosem na dwóch nogach. Kokarda fantazyjna i zawieszenie powinny być ze wstążki w kolorze przeważającym w szlaku. Trzeba tu pomyśleć o wazonach. Na to wystarczy jedna dzieżka i kilka dzbanków z gliny niepolerowanej, na której wymalować trzeba jakieś desenie farbami olejnemi kupionemi w najmniejszej ilości, w trzech, lub czterech kolorach. I nie trzeba na to umieć malować. Wydają teraz na wszystkie strony katalogi i zdobią książki winnetami bardzo prostemi w desenie, a ładnemi, które wystarczy przekalkować, przenieść na dzbanek i odpowiednio nałożyć farbami. Jeszcze jest inny sposób: kawałek kory brzozowej, wąski a długi, zgiąć w połowie, póki świeża i złączyć u góry patyczkami, lub krakowską wstążeczką. W połowie tej ukrywa się słoik z wodą, w który wkłada się kwiaty. Takiemi wazonikami zdobi się ściany, lub przypina do obrusa na rogach stołu. Jest jeszcze inny sposób: zwyczajny zielony ogórek ścina się od góry, wydrąża i zawiesza na wstążce. Kwiaty przechowują się w tem doskonale i wyglądają ślicznie.

Przy układaniu bukiecików trzeba się strzedz rożnobarwności, a zdecydować się zawsze na jakieś dwa, trzy tony przeważające. Zresztą sama natura przychodzi tu z pomocą, rzucając nam kwiaty sezonami zawsze zharmonizowane. I tak pierwszemi są białe, żółte i fijołkowe, więc: pierwiosnki, fijołki, i jaskry. Potem lila i biały: czeremchy, drzewa owocowe i bzy. Obecnie różowy ton dominuje w przyrodzie: krategusy okryły się liśćmi różanemi, wkrótce zakwitną dzikie róże i centyfolie, oraz białe i różowe akacye, kaprifolium i koniczyny. Ostrożnie z bławatkami, które, jak to się mówi pospolicie, łatwo się „gryzą" z innemi kwiatami. Jednakże przez cały czas ich kwitnienia kwitną też białe rumianki i drobne gryki a przedewszystkiem, cudne swą purpurą maki, które prześlicznie się godzą. Tylko dużo, dużo kwiatów i wszędzie; im skromniejsze ramy letniska, tem więcej powinno być w niem kwiatów.

Furlana.



Suknia z surowego jedwabiu w kolorze *bleu-gendarme,* frak i wyłogi pokryte gipiurą koloru szpagatowego. Kapelusz z szarej pletni, z pękiem piór.

Suknia z białego woalu, pasek haftowany w tonach bułgarskich, kapelusz jasny, z dwoma rajerami.

Suknia z szafirowej tafty, przybrana jedwabiem w kolorowe paski. Kapelusz ze złotej tagali, przybrany różami i podpięty gazą.



Kapelusz z czarnej tagali otoczony riuszą z białych strusich piór.

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

3

— Ależ przerwanie znaków nie dowodzi jeszcze niczego — rzekł grzmiącym głosem inżynier Boleński. — Nasz przyjaciel może być zupełnie zdrów, a nie posiada możności komunikowania się z nami. Bo zastanówmy się tylko: Robert Darvel dotarł do planety Marsa i na tyle użył swojej władzy nad jej mieszkańcami, że ustanowić zdołał te linie świetlane, któreśmy mogli sfotografować — Dlaczego przypuszczać, że mógł zginąć? Nie mamy żadnych powodów do podobnego przypuszczenia.

— Jednakże — zauważył młody człowiek — a ta ciekawa historya uwięzienia przez Erloorsów? od tej chwili datuje się przerwa w komunikacyi.

— Ten fakt nie wyjaśnia niczego. Robert uszedł z wielką pewnością przed niebezpieczeństwem, skoro mógł nas jeszcze powiadomić o tej przygodzie.

— Powiem panu jeszcze coś więcej — rzekł z kolei kapitan Wad. — Darvel żyje! jest to rzecz pewna! Usiłowania tak niebezpieczne i tak potężne, nie mogą pozostać bez śladu. Przewidująca siła rządząca światami i która kieruje wszelakimi fenomenami przyrody z tak obliczoną logicznością — nie dozwoli, aby takie trudności pozostały bezowocne. Możecie mi zarzucić, że jestem zdeklarowanym mistykiem — ale wierzę w musową konieczność zjednoczenia się tych dwóch planet blizkich — Marsa i Ziemi. Robert Darvel musiał zwyciężyć, tak jak musi powrócić na ziemię, aby ją wzbogacić całą wiedzą i przekonaniami nowego świata! Jest to dla mnie prawdą, czystą i jasną jak kryształ!

Kapitan Wad, przed chwilą jeszcze tak zimny i wstrzemięźliwy, wygłosił te słowa z taką gorącą pewnością siebie — że uczucie to udzieliło się Jerzemu Darvel, który teraz gotów być już uwierzyć, iż przeznaczenie jakieś wyższe kierowało i opiekowało się pracą jego brata.

— Zresztą — dodał spokojnie Ralf Pitcher — nie będziemy czekali na powrót Roberta — ale pospieszymy do niego w najkrótszym czasie.

— I znaleźliście już sposób na wykonanie tego zamiaru? — zapytał gorączkowo Jerzy Darvel.

— Jesteśmy bardzo blizko jego odkrycia — odpowiedział kapitan — wstrzymują nas dotąd tylko niektóre szczegóły praktyczne naszego wynalazku, drobne trudności techniczne, które mam nadzieję zwalczyć w krótkim czasie. Jest to rzecz kilku tygodni. Notatki brata pańskiego, uratowane w Chelambrum, są nam bardzo pomocne w tym względzie.

— Będę pracować z wami! — zawołał Jerzy z rozpromienioną twarzą.

— Wie pan zapewne — odpowiedział kapitam, który w zamyśleniu nie dosłyszał wykrzyknika młodego człowieka — że wszystkie fenomena fizyczne, mechaniczne i chemiczne koncentrują się w ruchu. Stało się to teraz banalną prawdą! Ciepło jest tylko pewną odmianą ruchu, tak samo jak i światło. Możemy sprawdzić każdego dnia, że ruch przemienia się w ciepło — ciepło w elektryczność — a ta znowu w światło. W pewnych warunkach zaś elektryczność zamienić się może w fluid dowolny — w wolę.

Człowiek będzie mógł urzeczywistnić co tylko zechce w dniu, w którym będzie mógł zbogacić mózg swój słaby w potęgę nieskończoną prądów elektrycznych, kiedy będzie mógł wprowadzić w swój system nerwowy, ten fluid dowolny — tak jak w akumulator — elektryczność. A wówczas nie zazna ani zmęczenia, ani choroby, a kto wie... może i śmierci. Nie będzie dla niego przeszkód żadnych — czynić będzie to, co zechce!

Brat pana wynalazł sposób zachowania tego fluidu, a my szukaliśmy sposobu zamieniania elektryczności w energię dowolną.

— Znaleźliście? — zapytał Jerzy, przejęty podziwem i lękiem, na widok tych olbrzymich horyzontów, wywołanych przed jego oczami.

— Wspomniałem już panu, że zatrzymani zostaliśmy jedynie trudnościami technicznej natury.

— Zresztą — dodał gwałtownie Boleński, zapalając się do tematu rozmowy — możemy panu w każdej chwili wykazać praktyczne próby naszych odkryć i przekonać, że nie są tylko teoryami. Sam pan osądzi.

Mówiąc to, inżynier wyjął z pod klosza kask szklany spojony miedzią, z którego zwieszał się pęk drutów platynowych złączonych z akumulatorami.

Kask ten włożył na głowę kapitana Wada, który teraz był podobny w tem przebraniu głowy do nurka mającego się udać na dno morza.

— Niech pan patrzy — rzekł Boleński, demonstrując dalej — w tej chwili prąd dostarczony przez akumulator przemienia się w fluid energii i przechodzi do mózgu mojego przyjaciela. Patrz pan jak jego oczy promienieją, jak dziwny wyraz spokoju i siły maluje się na jego twarzy. Otoczony jest jakąś potężną, nadziemską jasnością. Wola jego jest obecnie wzniesioną do szczytu siły i energii, a wszystkie rozkazy, wydane przez niego, musielibyśmy w tej chwili wykonać wbrew naszej woli.

Jerzy Darvel milczał zdumiony; inżynier Boleński tłumaczył sobie to milczenie dyskretnem niedowierzaniem.

— Chce pan dowodu? — zapytał — kapitan rozkaże panu natychmiast uklęknąć, spróbuj mu pan oprzeć się!

— Ciekawy jestem, rzeczywiście — szepnął młody człowiek, prostując się energicznie. — Jeżeli zdołacie mnie zmusić do tego, pomimo mojego oporu, nie będę miał nic do powiedzenia w tym kierunku.

Kapitan Wad podszedł do Darvela i objął go silnem spojrzeniem.

W tej samej chwili młody człowiek uczuł pod piersiami ból dotkliwy i palący. Na twarz jego rozognioną wystąpiły duże krople potu i pomimo nadludzkiego wysiłku, uczuł jak muskuły jego mdleją i miękną. Ukląkł, sam nie wiedząc kiedy.

— To jest straszne! — wyszeptał z trudem — któż mógłby się oprzeć podobnej potędze!?

— Wiedza jest wszechmożna! — wyrzekł dumnie Ralf Pitcher.

— Rozumiesz pan teraz, dodał Boleński — że gdyby nasz przyjaciel rozkazał panu naprzykład wziąść tam, ze stołu nóż chirurgiczny i iść sciąć głowę naszemu poczciwemu Zarukowi — musiałbyś to uczynić. Oh! widzi pan! Jest pan już pod potężną sugestyą kapitana. Jerzy Darvel, blady, z zębami zaciśniętymi nerwowo — szedł rzeczywiście z nożem w ręce, automatycznym, sztywnym ruchem ku przerażonemu murzynowi, który intuicyjnie przeczuł jego zbliżenie.

Silne spojrzenie kapitana zatrzymało podniesioną rękę Darvela. Twarz jego wyrażała wielkie cierpienie i zmęczenie.

— Proszę pana — szeptał prosząco — wstrzymaj te okropne doświadczenia. To, co doświadczam, jest nie do opisania. Zdaje mi się, że inna jakaś istota wstąpiła we mnie i skradła mi moją indywidualność.

Wierzę obecnie we wszystko, co czytałem o sugestyi i potędze woli ludzkiej.

— Jest tylko ta różnica — zauważył Boleński — że te fenomeny panowania jednej istoty nad drugą zdarzały się dotąd rzadko, bo zależne były od stopnia nerwowości i podatności danych osobników — kiedy teraz otrzymane być mogą w każdej okoliczności i to w sposób najłatwiejszy.

— Chcieliśmy pana przekonać — rzekł Ralf Pitcher — że możność dotarcia do Marsa nie jest już chimerą.

— Jestem już zupełnie przekonany — odpowiedział Jerzy, który powracał do normalnego stanu po doznanych wzruszeniach — i wierzę, że niema rzeczy dla was nie do wykonania.

— A teraz pokażę coś innego — rzekł inżynier.

Szepnął parę słów do Zaruka, a ten natychmiast przycisnął sprężynę elektryczną. Zapadnia, znajdująca się w szklannym dachu laboratoryum, opuściła się szybko, wtedy inżynier wyjął ostrożnie z paki, umieszczonej opodal niego, rurkę szklaną, cienko zakończoną jak strzała.

Rurkę tę ujął w dwa palce i podsunął ją pod oczy kapitana.

Kilka sekund upłynęło w zupełnej ciszy; nagle Boleński rozwarł palce. Z błyskawiczną szybkością rurka uniosła się w górę i znikła ze świstem w stronie dachu.

Jerzy Darvel stanął zdumiony pod wrażeniem myśli kotłujących w jego głowie.

Kapitan Wad zdjął kask z głowy i podszedł do niego uśmiechając się.

— Widzę — rzekł przyjaźnie, że te drobne doświadczenia wywarły na panu silne wrażenie — ale wierzaj mi, mój przyjacielu, to są drobiazgi nic nie znaczące wobec tego, co uczynić jesteśmy w stanie, posługując się tymi samymi środkami.

Jerzy Darwel skłonił się przed uczonym głęboko.

— Niech mi pan pozwoli — rzekł drżącym głosem — raz jeszcze wyrazić swoją wdzięczność, za łaskawe dopuszczenie mnie do prac waszych. O takiem szczęściu nie marzyłem jeszcze.

— Jestem przekonany, że wkrótce stanie się pan dla nas cennym współpracownikiem.

— Starać się o to będę usilnie — odpowiedział skromnie młody człowiek — chociaż nie wiem doprawdy, na co taki nieuk przydać się może takim uczonym.

Kapitan nie odpowiedział na te grzeczności; od pierwszego spojrzenia Jerzy Darvel był mu sympatycznym i wierzył, że młody człowiek okaże się godnym swojego brata i że należał do tej wybranej garstki poszukiwaczy wiedzy, których przedstawiciele poznają się po tajemniczych znakach, niedostrzegalnych dla ludzi niższego umysłu. Jerzy przyglądał się teraz bacznie małemu postumentowi z bronzu, wznoszącemu się na podstawie z onyksu w głębi pracowni.

Wyobrażała ona młodego chłopca, trzymającego we wzniesionej dłoni dzwon, misternie rzeźbiony.

Tors, zarazem delikatny i silny, wykonany był w stylu renesansu włoskiego — oczy zastąpione szafirami — a usta o linii doskonałej rozwarte były lekko, jakgdyby przemówić miały.

— Podziwia pan naszego posłannika — zauważył Ralf Pitcher — To arcydzieło rzeźby francuskiej

służy nam jako doskonały i wdzięczny aparat telefoniczny.

Ten bronz jest rzeczywiście cudownem cackiem; jest to jedna z fantazyi miss Alberty, która kosztowała ją cztery tysiące funtów sterlingów.

— Rzadko się zdarza widzieć równie coś pięknego — rzekł Darvel.

— To nic dziwnego! Jest to ostatnia praca Falguiere'a. Czy zauważył pan wyraz niepokoju wyryty na twarzy tego posłannika, nie wiedzącego, czy dobrą, czy złą wiadomość niesie!?

W tej samej chwili zabrzmiał dzwon w ręce posągu, a z ust jego wybiegł głos dźwięczny.

— To ja, miss Alberta! — Mam nadzieję, że nie przerywam ważnego jakiegoś doświadczenia?

— Bynajmniej — odparł Ralf Pitcher — sądzę, że pani jest zdrowa i nie zaszło nic niespokojnego.

— Wszystko jest jaknajlepiej. Ukończyłam sprawy które zatrzymały mnie w Malcie, prędzej niż się tego spodziewałam. „Zwycięzca“ będzie mógł jutro wypłynąć na morze. A będę u was już jutro wieczorem.

— Czy trzeba uprzedzić Cherife? Zdaje mi się, że nie liczyła na tak rychły powrót pani.

— Dziękuję panu; jest już uprzedzona. Jest postanowione, że przybędzie automobilem do Tabarki, oczekiwać mnie. Ale prawie byłabym zapomniała! Czy pan Jerzy Darvel przybył?

— Tak jest, miss Alberto, jest tu już od dwóch godzin.

— Niech mu pan powie, że cieszę się bardzo na to spotkanie i że jego obecność w naszej Thebaidzie sprawia mi prawdziwą przyjemność. Ale do widzenia, do jutra, muszę jeszcze mówić z kilkoma interesantami, a mam za półgodziny spotkać się z moim zastępcą, w sprawie procesu, który rząd transwaalski wytoczył mnie.

Posąg zamilkł, a Jerzy Darvel był jeszcze pod urokiem tego świeżego i wdzięcznego głosu, który długi czas brzmiał w jego uszach.

— Byłbym pana połączył z miss Albertą — rzekł Ralf Pitcher — ale miała czas wyliczony, jak to sam pan zauważyłeś zapewne. Niema ani chwili spokoju, tak zajętą jest sprawami różnorodnemi. I doprawdy ta kobieta posiada umysł niezwykły i energię, skoro potrafi stawić czoło tylu trudom i przeciwnościom, spotykającym ją ze strony ligi finansowej międzynarodowej, zwróconej przeciw amerykańskim milionerom.

— Będzie pan mógł ocenić jej wyjątkową i głęboką inteligencyę — rzekł kapitan Wad, zwracając się do Jerzego.

— Jakto? Nawet w kwestyach naukowych?

— Tak jest. Nawet w kwestyach naukowych, są dnie, w których wprowadza nas w zdumienie logicznością sądu i śmiałością poglądów! Miss Alberta będzie idealną towarzyszką i przyjaciółką pańskiego brata. Przeznaczenie samo połączyć ich musi.

Jerzy Darvel nie odpowiedział. Teraz, kiedy entuzyazm wywołany zdumiewającemi doświadczeniami uczonych rozwiał się trochę, nie mógł powstrzymać się od zrobienia sobie w duchu uwagi, że przecież Robert znajduje się w szalonej odległości od rodzinnej swojej planety — i wątpliwości znowu zaległy jego umysł podniecony.

Uczta Lucullusa.

Zazwyczaj o godzinie szóstej podawano obiad w willi Sentisque, a do tej pory czas był ściśle poświęcony pracy naukowej i badaniom.

Uderzenie dzwonu oznajmiło, że służba już podała do stołu, a na ten dźwięk wszyscy czterej uczeni udali się do jadalnej sali, olbrzymiego pokoju, wybitego skórą o jasnych barwach. Jerzy Darvel podziwiał wielkie szafy włoskie zawierające dzbany roboty Benvenuta Cellini i cenne porcelany saskie i urny hiszpańsko-maurytańskie o artystycznych złoceniach. Znajdował się tak obfity zbiór cennych arcydzieł sztuki, że Jerzy przejęty tym widokiem usiadł onieśmielony trochę na bogatem krześle hebanowem — inkrustowanem perłową masą i koralem. Były to krzesła uratowane w czasie zniszczenia pałacu cesarskiego w Brazylii, a posiadały one styl „rococo portugalski“, nie spotykany już dzisiaj.

— Przekona się pan — rzekł Boleński, który zajął miejsce obok Darvela — że ten archaiczny przepych harmonizuje doskonale z udoskonalonym komfortem dzisiejszym. Widzi pan to złocone koło, obracające się ponad żyrandolem weneckim?

— To wentylator zapewne — odparł młody człowiek.

— Tak, to jest wentylator, ale nie z tych niewygodnych aparatów, które służą tylko do poruszania zepsutego powietrza i ułatwiają rozmnożenie się mikrobów bez najmniejszej użyteczności hygienicznej. Każdy z promieni tego koła rozpyla zamrożone, czyste powietrze, czerpiąc je z flakonu umieszczonego w pośrodku. Tutaj nawet w porze najgorętszych upałów mamy atmosferę czystą i świeżą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Równanie.

Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego komedyopisarza, w drugiem tytuł jego utworu

$$\frac{a}{2}+\frac{b}{2}+\frac{c}{3}=x$$

$$\frac{f}{2}+\frac{g}{2}+\frac{h}{2}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Zwierzę domowe. b) Imię męskie. c) Współczesny powieściopisarz. f) Wielki pokój. g) Nakrycie głowy. h) Część kościoła.

Zadanie konikowe.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

	piał	si	ja	po	za	ru	
ne	się	szczy	ki	i	ru	śni	ni
zdrój	miał	niach	za	tach	za	bryz	ża
śpiew	mgły	szył	szu	nął	las	leś	pie
las	za	szu	cie	mo	drzew	moich	roz
i	ptasz	piał	ru	miał	w	jej	ją
ki	od	srebr	od	wie	czu	łzy	not
	zdój	ko	pła	ne	tęsk	łka	

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Waku! Ogon gęsi, bażanta, indyka dają!

Trójkąt magiczny.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą imię i nazwisko pisarza francuskiego.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Rozmieszczenie. 3 Imię męskie. 4 Ród litewski 5 Nauka o pięknie 6. Mieszkaniec północnej Europy. 7. Jagoda. 8. Powieść Kraszewskiego 9 Rodz j żelaza 10. Tytuł angielski. 11. Wykrzyknik. 12. Spółgłoska.

Łamigłówka.

Ułożył Mądry Miecio z Liszek.

Uzupełnić podane poniżej wyrazy. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy okrzyk, który w czasie Świąt Zielonych powtarzano z takim zapałem w Warszawie i Krakowie

— ora
— rka
— ona
— ran
— zaw
— ama
— ron
— oga
— ork.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Sprzeczka! Żona łaje. Czuję żur. Wie T. Ił.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć zawód, względnie godność poszczególnych osób.

RUPERT KON

STAN. KEIN

ARON KEIN

I. KAROL WIDT

URSYN AZOT

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Antoniego Sygietyńskiego:* **Drobiazgi.** Z przedmową Piotra Chmielowskiego.

Wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.